

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczyć obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

F1

71

#1
4 in
Chłopi

F. 2.

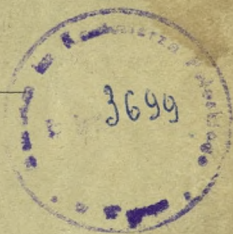
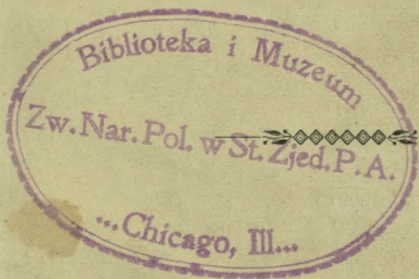
ARYSTOKRACI.

SZKIC DRAMATYCZNY

— W —

JEDNYM AKCIE ZE ŚPIEWKAMI.

Przez Wł. L. Anczyca.



CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM I DRUKIEM WŁADYSŁAWA DYNIEWICZA.

1891.

O S O B Y :

x ✓ **Wojciech Koguciak**, kmieć. ✓

x **Katarzyna**, jego żona. ✓

- **Szczepan**, żołnierz }
- **Marcin**, parobczak } ich synowie.

Marysia, wychowanka Wojciecha.

Stanisław, zagrodnik. ✓

Feldwebel.

Jędrzejowa, komornica. ✓

x **Mojsiek**, arendarz. ✓

(Rzecz dzieje się w Galicyi w obwodzie jasielskim, w zimie 1849 roku.)

*Przedstawione na Teatrze Krakowskim pierwszy raz
20 grudnia, 1849 r.*

SCENA PIERWSZA.

(Teatr przedstawia izbę chłopską.)

Marysia i Jędrzejowa.

Jędrzejowa (*zamiata izbę.*)

Mało mi już ręce nieustaną, od samiusińskiego świtu rób i rób, choćby ci ten kubek gorzałki dali, albo łyżkę strawy; tyła roboty, tyła uganiacki, a wsyćko bez tego Sceponka.

Marysia.

Co się ta dziwicie, toć ośm lat jest przy wojsku, a dopiero go piersy raz na urlop puscają. Wysiedział się tyle casu w Italii, więc go też ojcowie chcą ucęstować jak się patrzy.

Jędrzejowa.

Musiał się też bez te ośm lat odmienić i wykrzesać przy rej mencie, bo jak go oddawali,

to chłoposko było strasznie ładajakie; ani go nagnać do roboty, ani wyścigać do kościoła, jeno latał po muzykach, i wysiadywał u Mośka, a nie to leżał w chałupie. Teraz jak wróci od wojska, to go ta już może nie będą więcej wołać do rejmentu i chyci gospodarstwo na siebie; któż wie, może i wedle ciebie pomyśli.

Marysia.

Dajcie mi tam pokój, kieby on był najbogatszym kmieciem w całym cyrkule, tobym go niechciała.

Jędrzejowa.

Wiem ci ja, wiem, kaj ci się serdusko wydziera, polubiliście się z Marcinkiem, ale mi się widzi, że teraz ani z Marcinka, ani ze Szcaponka nic nie będzie; dawniej to co innego, ale teraz...

Marysia.

Oj, prawda, teraz jak zostali panami, to ani myśleć, żeby ojcowie dozwolili zenić się Marcinkowi z biedną sierotą.

Jędrzejowa.

Mocny Boże, tacy mi tam panowie, co w

górnicach chodzą. Łońskiego roku tośmy jeszcze razem dziedzicowi odrabiali pańszczyzną, a teraz to patrzą na mnie z góry, kieby na jaką dziadówkę.

Marysia.

Oj, już też święta prawda, że im się docna poprzewracało w głowach. Wcoraj to Franek Kula wyprał komornika swojego, za to że mu mówił „gospodazu“.

Jędrzejowa.

Ciekawe rzeczy jak ma wołać na niego?

Marysia.

Atoli mu brewiternie powiedział Kula, że powinien mówić mu jegomość, a Frankowej imość, bo oni dziś tyła znacą co dziedzic i dziedzicka.

Jędrzejowa.

Widzicie, cego im się zachciało? Wydziwiali na panów, a sami jeszcze od nich harniejsi. Oj, Maryś, Maryś, musis se wybić z głowy Marcinka. Oni teraz będą sukali dla syna jakiej alegantki z miasta, albo chociaż panny służbowej ze dwora, ale na biedną sierotę nie spcjzrą.

Marysia.

To się wie; o mój mocny Boże! niemać to niema większego nieszczęścia jak sierocie, kuźdy nią potera, kuźdy nad nią wydziwia, a nikt biednej nie poratuje.

Śpiew No. 1.

Oj biadać sierotce na tym Bożym świecie;
Innym ludziom dobrze, a ją bieda gniecie,
Každy nią pomiata, wygania za wrota,
Gdziez główkę przychyli nieszczęsna sierota.

Córusia u matki przy robocie śpiewa;
Sierotka u cudzych łzami się zalewa,
We dnie się napłace — bez noc nakłopotą,
Niezazna spokoju nieszczęsna sierota.

Najświętsza Panienko! królowo na niebie!
Biedną sierotekę weźze mię do siebie,
Albo mię też pocies, w mej wielkiej tęsknocie,
Bo ciężko na świecie nieszczęsnej sierocie.

Jędrzejowa.

Nieturbuj się Maryś, toć i mnie ojcowie odumarli dziewuchą, a przeciez mi Pan Bóg dopomógł i nie sterałam się między ludźmi, a choć ci ta na starość muszę w cudzem domostwie mieskać, toć jesce na chleb zarobię i nie potrzebuję ręki wyciągać.

Marysia.

Mnie nie idzie o ten kawałek chleba, ale miarkuję, że się Marcinek ze mną nie ozeni, bo mu ojcowie nie pozwolą.

Jędrzejowa.

Ba, coby mu nie mieli dozwoić, kiedy za nich wsyćko robi. Wojciech bez cały dzień w karcmie siedzi, w nocy bałamuci do późna i a zrana do południa śpi; Katarzyna pije z kumoskami, a cały dobytek ten bestyja Mosiek zabiera.

(Słychać Marcinka śpiewającego za sceną).

Jędrzejowa.

Marcinek — słysys Maryś, to on tak wyśpiewuje. .

SCENA DRUGA.

Jędrzejowa — Marcin — Marysia.

Marcin.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Jędrzejowa.

Na wieki wieków. Amen.

Marcin.

A ty to Maryś, nic mi nie odpowies na Boskie słowo.

Marysia.

Toć powiedziałam „na wieki“ aleście nie słyseli panie Marcinie?

Marcin (*zdziwiony*).

He? Co? jak?.. A to co znowu?.. Cóż ty gadas dziewczucha?

Marysia.

Niby to nie wiecie że mi wasa matka przykazała od wcoraj, zebym wam inacej nie mówiła jeno panie Marcinie.

Marcin.

Czy im się w głowach poprzewracało, skądże znowu takie wymysły?

Jędrzejowa.

A no bez to, że wyście kmiocy syn, macie grunt i chałupę, to jesteście niby pańskie dziecko i należy wam honor oddawać.

Marcin.

Nie plećcie próżniaków Jędrzejowa, ani mię nie despetujcie, bobym się na was zagniewał; jakim był, takim jestem i takim będę.

Jędrzejowa.

Tak ci się to widzi Marcinku, ale jak sam gospodarzem ostanies, to tak samo będziesz wydziwiał nad temi co nic nie mają, jako i twoi ojcowie; do tego, jak się ożenis ze Stanisławową dziewczuchą, to ta nie pojzrys na biedną komornicę.

Marysia.

Ani też na mnie; będziesz miał bogatą zonę, a ja sobie pójdę w świat... i kaj umrę...
(*placze.*)

Marcin.

Ej... Maryś... cóż znowu... albo ja to jaki cygan.. albo krętac, zebym miał o tobie zapominać.... Niech sobie Stanisław próżno na mnie zębów nie ostrzy, bo ja niechcę ani jego dziewczuchy, ani jego pieniędzy.. Skorom ci raz obiecał ze się z tobą ożenię, to choćby mi tu nasypał tyla cwancygierów cobym ich nie udźwignął, ciebie nie porzucę moja ty jedyna Marysiu.

Śpiew No. 2.

Płynie Dunajec prosto ku Wiśle,
Dyć ty wiesz Maryś jako ja myślę:
By mi kto sypał na miarki
Cwancygiery i talarki,
Nie porzucę cię.. boś ty jedyna.
Ślicniuśko dzwonią krośnieńskie dzwony:
Nie chcę ja Maryś innej mieć zony;
By mi kto dał dwór spaniały,
Wsyćkie pola, cyrkuł cały,
Nieporzucę cię — boś ty jedyna.
Nad wsyćkie zboza słynie pszenicka
Choćby tu przysła sama księżnica,
By mi dawała pierścienie
Biały chlebuś i piecienie,
Nie porzucę cię — boś ty jedyna. (*ściska ją.*)

Marysia.

Bóg ci zapłaci Marcinku, ze mas dobre serce dla sieroty.

Marcinek.

Nie taki ja dobry, jak se myślis dziewczucha:
mam ci ja dobre serce dla ciebie, ale i dla siebie też, bo jeżeli chcę twojego szczęścia, to i mojego także.

Jędrzejowa.

Dzięką Bogu, wszyćko przygotowane. Ho,

ho, będzie to tu będzie; cała gromada zbiegnie się zobaczyć waszego brata Sceponka. Nabiliśwa gęsi, napiekliśwa kołacy, a ojcowie pošli do harendaza po wódkę.

Marcin.

Mnie się widzi, że mu tatuś spuszcza gospodarstwo, a mnie trza będzie siedzieć w tej chałupinie pod lasem: ha no wola Boska, byle jeno ojcowie nie zbraniali mi pojąć Marysię.

Jędrzejowa.

Byliście na plebanii?

Marcin.

A juścić byłem. Ucciwymy dobrodziej wysłuchał mię pięknie i obiecał ojcom nakłaść w usy; ale mnie się widzi, że się to nie zda na nic.

Jędrzejowa.

Oni ta zważają na księdza, kiej się Pana Boga nie boją. Prędzejbyś skurał, kiebyś był poseł do harendaza, bo on u nich więcej znacy, jak wszyscy księża (*słychać za sceną hałas*). Oho, już z karcmy wracają, odejdźcie od siebie, bo pani matka mają srogie ocy, toby wnet

zmiarkowali zeście ze sobą. (*Marcin i Marysia rozchodzą się.*)

SCENA TRZECIA.

Marysia — Jędrzejowa — Katarzyna — Wojciech
— Stanisław — Marcin.

Katarzyna (*wchodzi zamaszysto — ręce w kieszeniach*)

Ej, jako żywo, u Mośka gorzałka, to scerna okowita, juzto on tak nieosukuje jak inne zydy.

Stanisław (*z cygarem w ustach.*)

A niechze ta osukuje; abo mię to niestać zebym placił. Mam ta dzięki Bogu dość pieniędzy, a jak mi braknie to wiem kaj ich sukąć... a jak mi się osukaństwo sprzyksy, to wiem co ze zydem zrobić....

Katarzyna.

Łatwo wam gadać, boście dosyć pozyskali po rozmaitych dworach jak była rabacya; ale moje chłoposko do nicego, uciekło do lasa i niechciało nikaj iść, choć mu dosyć nagadałam; tośwa tez nie nie urwali. A na Mośka nic nie gadajcie, bo zydzisko dobre, a na wsyćko pro-

bant, cy anc w doradzie, cy zaratować; a choć-
byś na ten przykład i porwał co, to nikt ci tak
nie zapłaci jako Mosiek. (*Do Marysi.*) No, ty
próżniaku, przysykwane wsyćko? Gęsi — ko-
łace? hę.

Jędrzejowa.

Wsyćko jest, jak się patrzy, jeno jakoś
Sceponka nie widno?

Katarzyna.

Kogo? kogo! niewidno?

Jędrzejowa.

A no, kogózby jeno Sceponka wasego syna.

Katarzyna.

Sceponka! Sceponka!! widzicie ją?.. prze-
jęte babsko, a któż cię to nauczył zebyś tak
despetowała mojego syna. Mówiłam ci zebyś
moim dzieciom honor oddawała! Co my pano-
wie; to nie wy charłaki widzicie ją, Sceponka!
mnie się widzi ześ mogła powiedzieć: wsyćko
gotowe prosię imości, tylko nie widno imości-
nego syna pana Kogucieńskiego.

Marcin.

Cóz wy pani Matko gadacie? przecies to

Sceponka zawdyśwa nazywali Sceponkiem: skądżeście go wyrytkowali na jakiegoś Kogucieńskiego? Choćbyście nawet i po przewisku mówili, toć mu przecie Koguciak, ale nie Kogucieński.

Katarzyna.

Stul gębę, kiejś głupi! nie rezenuj, kiej się na tem nierozumis. Jakeś był ladajakim chłopem, toś się mógł zwać nietylko Koguciakiem, ale i cielakiem, ale teraz wara, kiejś ostał chłaścicem.

Marcin.

Ślachcicem... ja? chłop! tfy, do bisa! co wy też wygadujecie? cy wam się w głowie przewróciło?

Katarzyna.

Chłop... Chłop! co było a nie jest, to się nie pise w legestr. Ten jest chłopem, co robi pańszczybę: a więc pókiśwa odrabiali ślachcicowi, tośwa byli chłopami, ale teraz jesteśwa galant ślachtą, jak ano ten co siedzi we dwoze; a jako zaden pan niemoze się nazywać Koguciakiem, ale Kogutkiewiczem abo Kogucieńskim.

— 17 —
Marcin.

Ciekawa rzecz, kaj się chłopcy podzieją, kiej wszyscy będą ślachtą?

Katarzyna.

Ogłupiałeś do cna! a cy to nie ma komorników co nic nie mają? Toć oni są i będą chłopami, bo muszą na chleb robić, a my ze nie potrzebujemy się uganiać z robotą, przeto jesteśwa ślacheckiej kondycyi. Ja jestem pani: mój chłop jest pan, a ty jesteś pańskie dziecko.

Wojciech.

Uwazacie wy Stanisławie, jaka moja kobieta mądra.

Stanisław.

Ba, moja byłaby jescce mądrzejsza kieby... nie umarła.

Katarzyna.

Oho! jus mi się to nie od dzisiaj na państwo zbiera. Od maleńkości strasnie mi się cnęła robota przy żniwie; zawdym patrzała zeby się kaj ułożyć i kościska sprostować; a nieraz o mię okumonisko podesło i ściągło batem. Oj, uz tez te psiepany okumony, to okrutnie były

łakome na ludzką skórę. Juścić prawdę mówiwszy, to taki okomon najlepszy co tego przyparzy. Wy Stanisławie macie ciężką rękę i kiejbym jeno ostala dziedzicką, tobym was zaraz wzięła na okumona.

Stanisław.

Co ja! ja? miałbym iść do ciebie na okumona. Nie wydziwiał głupia babo, bobym cię wnet starantował. A cuzto, abo ja to nie taki pan jako i drudzy hę? abo to mój ujek nie był deputakiem we Widniu, hajnok tam kaj najjaśniejszy Cysorz mieszka. A chociaż tam śwandrowali po mimiecku, to ujek bezcały cas gęby nieozwarł, jeno na samego wielmoznego ministra patrzył, oko w oko, kiedy nieprzymierzający wy na mnie. Abo to niewiecie, trzy lata temu cem ja to był?.. co ja to znacył?.. co mi wolno było przez meldowania iść do samego starosty, a pięć gromad wodziłem od wsi do wsi! abom to temu oberstowi od śfolezierów, co bił rebelantów nie pucował butów?.. A ta zatracona baba chce mię swoim okumonem robić? cie! I daleko ci do mnie!... złodziejko!

Katarzyna.

Cózem ci to rabusiu ukradła? Jaki mi p

zagrodnik co nie ma ani bez pół tyla roli jak my.

Stanisław.

Wy macie siła, ale macie cudze! a ja mam mniej gruntu, ale za to mój własny.

Wojciech (*cicho do niego.*)

Dajcie no pokój Stanisławie! co tam zwazacie na babskie gadanie; opila się ano i baję lada co.

Stanisław.

To niech mię nie napastuje!

Katarzyna.

Zebyśwa jeno, jako nam obiecywali, mogli wyścigać do reśty dziedzica na wiosnę, i kieby się podzielić tą chudobą, toby zaraz było inacej. Wybyście Stanisławie mogli zabrać folwark pod lasem; a jabym się przeniesła do dwora. Juścić mi najsykowniej byłoby mieskać we dworze, bom się przyucyła będący za pannę...

Stanisław (*przerwywając.*)

Do trzody.

Katarzyna.

Niechże ta do trzody, albo to i wy trzody
niechowacie?.. a co prawdajak usłyszę że trzoda
kwicy, to mi się zaraz dworskie życie przypo-
mina i wnetbym płakała. Kieby jeno przed
śmiercią aby na rocek sprowadzić się do dwora,
tobym se dopiero żyła galantc!

Śpiew No. 3.

Kiej cłek pańskie grunta złapie,
Przeniesiewa się do dwora,
Będę siedzieć na kanapie,
Będę sobie zawdy chora.

Bez cały dzień będę piła!

Na obiad codzieln gęsina,

Harakiem się będę myła,

Wiwat pani Kogucina! }

bis

Jak panowie z polityką,
Z Wiednia se sprowadzę granie:
Mnie zwać będą „dobrodziejką“:
Mego Wojtka „Jaśnie Panie“!

A gdy jadę do kościoła,

Luberya konie zacina,

Juz słyszę jak naród woła,

Wiwat pani Kogucina! }

bis

Wojtku tobie fracek sprawię,
Sobie sal za reńskich dwieście:

Bez lato w kąpielach bawię,
W zimie będę siedzieć w mieście.

A gdy jestem za granicą,
Wtedy myśląc zem Grefina,
Juz słyse jak niemcy krzyca, }
Wie geje Madam Kogucina! } ~~bis~~

Do północkska będę siadać,
Do południa lezeć w łózku,
Po polsku nie będę gadać
Jeno zawdy po frajczuzku.

Zapusce długie pazury,
Gęba blada, kwaśna mina,
Wierzchem jedwab — spodem dziury }
Wiwat pani Kogucina! } bis

Wojciech.

I cóz wy na to Stanisławie, prawda ze moja
Kaśka do krzty na wielką panią wygląda.

Stanisław.

Widzę ja to państwo, ale ciekawa rzecz co
to będzie jeśli kiej stary Bartek wróci?

Wojciech (*cicho do Stanisława.*)

Bodaj ze was tez, ze nie umiecie języka w
gębie utrzymać (*głośno.*) Coś Mośka nie widać,
Jędrzejowa skoknijcieno ku niemu, cemu gorzał-
ki nie przynosi?

Jędrzejowa (*odchodzi.*)

Katarzyna.

Wyźrzyjno Marcinku na gościniec od Janka, czy ta niewidno Sceponka, (*do Marysi*) a ty próżniaku skoknij do Organiściny, pozdrów ją pięknie i powiedz że pani Kogucińska prosi ją na odwiecerze.

Marysia (*cicho do Marcina.*)

Ciekawa jestem bez co oni nas wyganiają.

Marcin.

Pewno będą robić obrachunek ze zydem, (*odchodzi z Marysią.*)

SCENA CZWARTA.

Stanisław — Katarzyna — Wojciech.

Wojciech.

Bodajze was tez Stanisławie! kiebyście spełna rozumu nie mieli, pleść takie bzdury przy ludziach.

Stanisław.

Niekoniecznie i bzdury: już trzynaście roków jak Bartłomieja asenterowali do wojska. Wyście byli jego kómornikiem, a jak go brali, to wam ostawił grunt i chałupę, żeby to wszystko było na Maryskę: skoro teraz, to wygadujecie żeście chałupę kupili; a kto to widział? co? Niechnoby tak wrócił, dopiero by was wyścigał ze wszyckiego, jak wieprzka z cudzych ziemniaków.

Wojciech.

Kupiłem, bom kupił i mam takich co przysięgną jakom mu żyła pieniędzy kiej odchodził. Ale co sobie tam popróżnicy turbujecie Bartkiem głowę. — Nie wracał tyle lat; to już i nie wróci, bo pewnie pomarł.

Stanisław.

Aha! pomarł ci, pomarł! przecie mi mówili, że wróci z tym rejmentem co przymasirował do Tarnowa.

Katarzyna.

Niebaj baja, on nie służył przy rejmentcie, eno przy śwolizierach.

Stanisław.

Prawda że go asenterowali do śwolizierów, ale go potem tranśponowali do fanteryi do tego rejmentu co ma werbecyrk w Tarnowie.

Katarzyna.

A cóżeście słyseli o Bartku?

Stanisław.

Owo mi urlopnik powiadał, że Bartek żyje i że jest pono kaprolem, cy ta oficyrem, a skoro rejment wrócił z Litanije, to on tez tam nie ostał.

Katarzyna.

Niechże tu wiaca. Będzie nam zaprzecał, to pojedziemy do prawa. Nie zawracajciez nam i sobie głowy byle turbacyą. Ot lepiej pogadajma o Sceponku. Musiał tez to chłopak wyśmignąć, a pewnie ślicniuśki, bo był zawdy do mnie podobny. A wy, zamiast stać nam na zdradzie i pleść lada co, ato lepiej pogóźdzcie się i oddajcie wasą Frankę Sceponkowi, to im spuścimy połowę gruntu. Widzicie jaka ja dobra! chcę Frankę dla mojego chłopaka, chociaż jesteście nizsej kondycyje odemnie.

Stanisław,

Nizsej kondycyje! Nizsej kondycyje! Tfy do wsyckich djablów: ani ja, ani mój tatuś, ani dziad, ciarachowi trzody nie pasał tak jak wy. Ale miarkuję ja dobrze skąd wam się wzięło to krewieństwo ze mną, cała rzec ze wiem, jakoście Bartkowi ani siajnego grajcara nie dali. Ho wiem! i jak trza będzie na to przysięgnę. Teraz się boicie cobym was niezdał i bez to raicie mi wasego Sceponka.

Katarzyna.

A bodajżeś zmarniał z taką mową!, jeśli biorę Franke to z przyjacielstwa, a nie skróć jakiej spekulacyi.

Stanisław.

Ja się tam za wasem przyjacielstwem nie ugamiam. Dacie Sceponkowi gospodarstwo i cały grunt to dobrze, dam mu dziewuchę; nie dacie, to i u mnie gęba niezamarzła.

Katarzyna.

No, no uspokojcie się Stanisławie; będzie jak mówicie, jeno mi nie pamiętajcie jeśli mi wam co krzywa, bo wiecie, ze to ino bez nagłość.

Stanisław.

A jak Sceponkowi Marynka wpadnie woko?

Katarzyna.

Ba choćby się ta z nią ubawił, co wam ta o to, byle się z Franką ożenił.

SCENA PIĄTA.

Dawni i Mojsiek.

Mojsiek.

Jak się mas Stanisławie (*do Katarzyny.*)
Ny Wojciechowa przyniosłem wam tutaj coś
extra fein.

Katarzyna.

Widzicie łapserdaka? Niemozes mi to nie-
wiaro powiedzieć pani Kogucińska.

Mojsiek.

Ny! niech mu będzie i kogut, ale kiedyś
taka pani to mi lepiej zapłać moje siedemnaście
reńskich srebra coś mi winna za wódkę.

Katarzyna.

Ej przecie wiesz, że ci nie przepadnie; albo mnie to nie stać zebym ci niezapłaciła: pokazno coś tam przyniósł.

Mojsiek.

Jakto co ja przyniósł? ja wam przyniósł take rarytne wódkę, co tylko sam dziedzic na szwięta pije; jescście takiego trunku jako zycie nie powąchali (*pokazuje jej flaszkę.*) Z przypiętowane!.. z takim kartkiem co z hrabskiej fabryki.

Katarzyna (*ogląda.*)

Cie!... prawda, jaki kolorecek, jaze się uśmiecha do mnie bestyjka. Dajno Mošku — trza spróbować hrabskiej gozałki.

Mojsiek.

Jakto daj? a meich pieniędzy?

Wojciech.

To nam jescze przyborgujes.

Mojsiek.

Ani na grajcar! zebym tak szczęśliwy buł. Ja i tak na was stratne, juzbym na tych pie-

niądżów coście mi winni, drugie tyła zarobili. Mieliście dać krowę; *ny? wus ist dues?* ani krowe, ani pieniędzy. Oj waj jacyście wy mądrzy! sukajcie sobie kaj indziej wódki, ja wam tej ostawić nie mogę.

Katarzyna (*wydziera wódkę, Mojsiek nie puszcza.*)

Puscaj zdrajco, toś na to przyniósł zeby mię drażnić.

Mojsiek.

Przyniosłem, bo miszlałem, że mi zaraz zapłacicie, ale kiedy niemacie pieniędzy i krowy nie dajecie, to nic nie dam i wezmę do domu.

Katarzyna.

Przecież mi ze dwora dawali za nią pięć i dwadzieścia reńskich, to wam za siedemnaście nie oddam.

Mojsiek.

Ny o co wam chodzi, to wam piątkę dołożę, a przecieście mi winni lepiej zycyć jak panu, bo przecież ja was psijaciel, a pan co?

Katarzyna.

Ostawze gozolkę, a biez do paralusa krowę i dawaj pięć reńskich.

Mojsiek.

Na co wam pięć reńskich? zmarnowalibyście na bile co; lepiej niech u mnie zostaną, przecie więcej przepijecie jak tych głupich pięć papierków.

Katarzyna.

Dobrze mówis, niech ostaną, ale przynieśże i na wieczór gozołki choćby ze trzy garnce, bo się luda naschodzi.

Mojsiek (*cicho do Katarzyny.*)

A jak będzie z tym coście napili w tamten tydzień z kumoskami.

Katarzyna (*cicho do Mośka:*)

Jak się siwucha ocicli, to ci dam cielątko (*głośno.*) Ostaw, ostaw a jak będę dziedzicką, tó ci spuszę z harendy.

Mojsiek.

Ny, co ja mam robić, ja zawsze was przyjaciel. Mogę wam na wiecur i miodu psiborgować, bo mi przywieźli baryleckę feinego. (*do Katarzyny odchodząc*) Ny, a pamiętajcie jak się urodzi ten mały wół, to mi go zaraz przynieście.

Wojciech.

Niechodźno Mošku, pockaj, bo widzisz rad-
bym zebyś nam wygodził.

Mojsiek (*chce iść.*)

Zebym tyle szczęścia miał, jeśli dam aby
jeden grajcar.

Wojciech.

Któż ci gada o pieniądzech.... ale... ano
bają ludzie że ma wrócić Bartłomiej.

Mojsiek (*wraca się.*)

Aj waj! Co wy gadacie, Bartłomiej? ten
Bartek co mnie z kijem wybił za to żem na
niego sprowadził komisarza. Oj waj! ten coście
od niego gospodarstwo wyszachrowali.

Katarzyna.

A ten ci, ten: oj byłaby okrutna termedyja
jakby go bisi przynieśli, musielibyśwa duchem
oddać grunt i chałupę.

Wojciech.

I do chłopskiej kondycyje powrócić.

Stanisław,

A ja musiałbym rad nie rad France innego

spekulować chłopa, bobym się przecie nie mógł krewniać z byle kim.

Katarzyna.

Poradźno Mosiecku a scyrze, toć ta nie będziemy od tego zeby ci nieodslużyć.

Stanisław.

Kieruj Mošku a sprawnie; widzisz mnie ich zał bo to przecie i kumoterstwo, a jak wykie-rujes to i ja ci dam kilka reńskich, bo mię na to stać.

Mojsiek.

Oj waj, albo ja nie wiem zeście wy tu naj-bogatsy w całej wsi? Wamby i dziedzic nieporadził, co jakem mu faktorował do te okowite Abramkowi z Krosna, to mi tylko dał głupich dwa ryńskich. Wy to co innego, taki *fein puretz*.

Stanisław (*nadymając się.*)

No to widzisz (*wyjmując z wielkiego pugi-laresu papiery*) ja ci daję całą piątkę, a jak dobrze pokierujesz to ci jeszcze nadrzucę (*odcho-dzi, Mojsiek go przeprowadza do drzwi.*)

Mojsiek.

Oj waj! to mi pan, jak pojedę na jarmark,

— 32 —

to wsistkim żydkom powiem jaki z was gruby pan
(*odwracając naprzód*) *brache kiskies die ra-*
buśnik.

SCENA SZÓSTA.

Dawni bez Stanisława.

Mojsiek.

Poradzić, ny.. to nie tak łatwo... jak
wam się widzi. Poradziłoby się tam ale to gruby
interes.

Wojciech.

Kasiu podajno flaszkę co hań pan harendaz
przynieśli.

Mojsiek.

Na co to napocynać takie rarytne wodkę.
To *fein* likier. Ja mam inne gorzałkę, niech
ja stracę... ja was będę częstować. Tu idzie
mój Szmil, to un będzie przynieść *fein* okowitkę
(*woła przez okno.*) *Szmil! herste! Szmil;*
(*żydziak pokazuje się w oknie.*) *Szmil! gaj cy*
die Mame. Zug a soll geben ane kwurt or-
dyner Brantwann fer huf daled call. (Żydek

niknie, Mojsiek woła za nim.) Nur niszt cy sztark! fersztajst?

Żydek (za sceną.)

Joj Tatele.

Mojsiek (wracając naprzód sceny.)

Ny prawdę mówiący to jest bardzo paski-dny interes z tym Bartkiem. Musielibyście od-dać grunt, chalupę, stodołę, chlew, kunie, kacke, gięszów, kure, świnie, psyodziewę.

Katarzyna.

Ba skądbyśwa tego wzięli, kiej to wsyćko przesło . .

Mojsiek.

A jeszcze coście pozytkowali, bez tyla ro-ków, o waj! *a grojse dalles.*

Wojciech.

Poradz no Mosiiecku! poradź.

Mojsiek.

Poradz (*cmoka.*) Jak tu radzić, aj waj!

SCENA SIODMA.

Dawni i Szmil.

Szmil.

Tatele! Mame hat a kwatirlranes Wasser zigegeben.

Mojsiek.

Git! Geber her und Gaj!

Szmil.

Wus giebst den Sznaps fer die galganes, sie werden djoch nisz beculen.

Mojsiek.

Lojf! lojf, jach mache hier mit den Gojen gite geszefte (odbiera wódkę, stawia na stole. Szmil odchodzi). Ny! ja wam poradzę, nie turbujcie się, nie strachajcie się. Napijcie się gorzałki na szczęście (nalewa i daje im, a gdy wypili gładzi się ręką po piersi) a co, fein pikes. Nu! pij Wojciechu do baby (sądza ich za stołem.) Siadajcie tak lepiej będzie, (siada) jus ja was musę zratować... Aj waj... boby to były strasne, jakby was potem do Rzeszowa,

do kryminału ziandary powiedli. Cała wieś pokazywałaby na was z palcem. A dziedzic, o wa! tenby się dopiero wyśmiewał z chłopskiego nieszczęścia. Napijcie no się.. (*nalewa.*) Pijcie Kogucińska (*nalewa.*) I tak już na was gadają, zeście cygany, zeście obsukańcy i pijaki. Nu ale ja wiem zeście dobrzy ludziska.. i jeszcze wyjdziecie na panów, (*nalewa.*) Pijcie no na frasunek dobry trunek. Otoż ja wam chce pokierować interesów, ale wiecie, jak kuniowi żreć nie da, to un nie będzie ciągnuł, a jak wozu nieposmarujes; to niepospiesys. Darmo nic, (*nalewa*) wasze zdrowie pani Kogucieńska.

Wojciech.

Dyć my ta darmo niehcema, na wiosnę to ci Mošku dam te styry zagonki za karcma pod ziemniaki, to sobie zasadzis.

Mojsiek.

Ny! Bóg wam zapłać za to że mi zasadzicie te pięć zagonów, i to dobre; ale jak wam radzić kiedy i ja mam dość kłopotu, ot i krowy nie będę miał cem zimować, a kto temu winien to wy, bo mi niezapłaciliście i musiałem wiaść krowę, a teraz jeno będę miał z nią biedę i tyła.

Katarzyna.

Co się ta o krowę turbujes, jest ano potrawu pełna góra, to ci furkę dam, jeno radź.

Mojsiek.

Nu to ja zaraz psijadę po tego potraw, ale mi rzeknijcie zaraz co mi dacie? bo ja nie lubię po omacku chodzić (*nalewa.*) Pijcie no!

Katarzyna.

Ha no, choćby i tę pięć srebla to ci dam.

Mojsiek (*zrywa się.*)

A wa! kikste! pięć reńskich? *haste gesehen!*? takie rarytne gospodarstwo, coście Bartkowi ukradnęli, to warta więcej jak tysiąc reńskich, a z kuźmi, z krowami, ze świniem, a gięszem, to więcej jak półtora tysięcy. Zebim ja się wdał do tego interes, toby mnie samemu więcej kosztowało jak dwiesta reńskich. Ale ja niejestem taki twardy, jak mi do siodłatej dodacie siwulę i piędziesiąt srebla, to jus Bartek nie będzie powąchał swoje chałupę.

Katarzyna (*nalewajac sobie wódkę.*)

No krowę, to mozes sobie wziąć choćby i

zaraz, ale z pieniędzmi to nie wiem jak będzie, bo w domu niema ani krajcara.

Mojsiek.

Nu ja nie taki twardy. Ja z dobrymi ludźmi zawdy dobry, krowy wezmę zaraz, a na te sześćdziesiąt srebra, to się kwitek napise...
git?

Wojciech.

Cóz ty na to?..

Katarzyna (*do Wojciecha cicho.*)

Wielkie rzeczy ze mu damy kwitek, abo to kwitek pieniądze?.. Niech se potem odbiera; figę mu damy. Powiedz ze na wszycko przystajes.

Wojciech.

A no niechze ta tak będzie jako chces..

Mojsiek.

Niech tobie gięszki zdeptają jaki ty mądry, tybyś i szlacheica otumanił, tybyś dziesięciu zydów okpił. Mój Wojciechu, jabym nie mógł patrzeć jakby ciebie w kajdankach ziandary pędzili (*nalewa.*) Napijcie się. Dziś mój szwagier Icek jedzie do Brodów, otóż musicie mu dać 10 reńskich.

Katarzyna (*pijana.*)

Cie? hola! jeszcze tam cego.. dziesięć papierków... śliczny mi rajca, nie dość że sam bierzes, jeszcze chcesz naszą pracą wszystkich żydów z bogacić.

Mojsiek.

Aj waj! cego tak krzycysz. Nic nie pomoże, musicie mu dać dziesięć papierków i Marynkę. Już ja wam tak każę.

Katarzyna.

Co? Co? jabym miała dać Marynkę żydowi, dawać krew katolicką, a po co niewiaro? żebyś z niej macę zrobił?.. O nieszczęśliwe doczekanie (*placze*) kiedy już żydy katolicką krew wypijają. O nieszczęsny narodzie!.. nieszczęsny narodzie! (*mocno placze.*)

Mojsiek (*zrywa się.*)

A niech cię djabli wezmą babo!. płac, płac głupia! gorzej będziesz płakać jak cię Bartek z chałupy wyzenie i odda do kryminału (*chce iść.*)

Wojciech (*zatrzymując go.*)

Mošku! Mošku! co tam zwazas na babskie

gadanle.. cekajno! widzisz trza przecie powie-
dzieć na co ci pieniądze? na co ci Maryna?

Mojsiek.

Jakto na co? Toć miarkujecie, że jak Bartek wróci, to jeno będzie ciekał za córką! Icek weźmie Marynkę do Brodów, a potem do Radziwiłłowa przerswacuje, odda do jakiego porządnego żydowskiego domu do służby. Jak Bartek wróci to mu powiemy że ona uciknęła z jakim wojakiem na Węgry. Ny, on jej pójdzie szukać, jemu djabli wezmą, a wy ostaniecie na gruncie.

Wojciech.

Mądryś żydzie. Juścić to prawda, żeby tak dobrze było, ino że mi zał dziewuchy, tyrać ją po żydowskich służbach.

Katarzyna (*wstaje.*)

Głupiś, niech się poleruje, u żydów naucy się porządku. Z twoim zalem to na to zejdziemy, że będziemy jescze Bartkowi odrabiali pańskie.

Wojciech.

Juścić ty ta mas lepsze zmysła Kaśka, niechże będzie tak jako mówis.. jeno ze..

— 10 —

Mojsiek.

Wus ist? na co tego jeno? po co temu (*nalewa*) napijcie się... Ja tu będę przyjsć z Ickiem. Cóz? jakze przyjsć?

Wojciech (*spluwa po wódce*).

Ha no... to ta i przyjdź, jeno ze dla Icka... to jus nie będę miał pieniędzy..

Mojsiek.

Co wam do tego, juz ja jemu dam, to się odrazu wpise do weksel ośmdziesiąt reńskich. Tylko mi za to dacie waszych dwóch gięszów, bo się moje ztrefniły.

Katarzyna.

Oj ciągnie tez to sobaka, ciągnie do śmierci. Idze juz, idź Judasu, bobyś nas do krzty obral, a wiecor przyjdź po Marynę, rozumies?

Mojsiek.

Juz ja będę przyprowadzić Icka. Ale przyjdźcie z krowami i z gięszem zaraz, podpiszemy kwitek, bo jak nieprzyjdziecie, to sobie z Bartkiem radźcie, jak wam się podoba a pamiętajcie

tych pięć zagonów, siodłatą i siwulę, dwóch gięszów i kwitek na sto śrybła, juz z procentem...

Katarzyna.

Dobrze juz, dobrze!

Mojsiek.

Zicię wam ścięście (*odchodzi.*)

SCENA OSMA.

Wojciech, Katarzyna.

Wojciech.

Straśnie mi się widzi przeciwnie oddawać zydow Marynę.

Katarzyna.

Głupiś, dosyć się juz nazarła nasego chleba. Niechze idzie na cudzy.

Wojciech.

Oddawać Bartłomiejową krew na zatrzenie.

Katarzyna.

Baj baj! może żeby nas z chałupy wygnali. Darmo co się raz stało, to już tego nie odrobi. Kiedyś już raz dostał się ślacheckiej kondycji, to nijako do komornictwa wracać. Źle ci to, że ci każdy komornik, każdy charłak sięga kapelusem do butów: źle ci to że się wylęgąs bez cały dzień, albo w karcmie pijes? możebyś wołał żeby ci okumon baciskiem grzbiet smarował. Straśne cuda usługować żydom? Alboś to i ty nie ucierał świec staremu harendarzowi na sądny dzień jakęś był chłopem. Dziewuchy nie ubędzie, a że jest urodna, to się może jeszcze w mieście wykieruje na jaką pannę.

Wojciech *(ociągając się.)*

Kiej widzisz ja mam zawsze skrypuły, awo i Marcinek, miał się ku niej.

Katarzyna.

Marcinek nie dla takiej charłacki. Teraz to ci dobrze, spis siła chcesz, jes co strzymas, pijes ledwie nie pękniesz; a jak jeszcze Bartka i Marynę bisi wezmą, to ci pozwolę bez cały

dzień siedzieć u Moška, a do roboty to się najmie.

Wojciech (*uśmiecha się.*)

No juściby się to ta zesło. Ja zawdy powiadam ześ ty Kaśka mądra.

Katarzyna.

Otóz nie baj próżno, ale rób jak ci ucciwy Mosiek radzi. No pójdźze juz ciemiego do karcmy dobić targu. Ja głupia baba, ale mam lepszą spekulacyę we łbie anizeli ty (*bierze go pod rękę*). No pójdź wielmożny panie Koguciński, pójdź ślachcicu do zyda! (*wyprowadza się za drzwi.*)

SCENA DZIEWIĄTA.

Szczepan (*wchodzi w mundurze kaprałskim, w płaszczu żołnierskim, z pałaszem przewieszonym przez ramię.*)

Aha przecim się dostał do nasej chałupy, *richtig* tutaj; śpetne chałupsko, brzydse jak kazamaty w Peskieze. Co tes moje *landsmamy*

powiedzą jak mię śpenetrują (*ogląda się po sobie i śmieje się.*) Bardzo mi śpiluje po kapral-sku, wyglądam jak *regimentstambor* kiedy na *muštrunk* idzie. Jak mię gromada ujrzy to się dopiero będą dziwować, będą stać het z daleka z tyłu jak *furwezy* za frontem. Będą mówili: Jak się oni mają panie kapral? to oni panie kapral są kapralem? a ja się do nich nie będę odzywał, tylko sobie moje wyśwarcowane wąsy do góry wykręcę. A dziewczuchy (*uśmiecha się*)?.. kaj im tam do Italianek, to tak jako świecy za grajcar do *faklu*. Będą też się wedle mię kręciły, kieby kumpania w *Geldtag* wedle *hajtmana* (*Marysia wchodzi.*) A to jakasik *fein* dziewczucha, od biedy mogłaby jesce udać Italiankę.

SCENA DZIESIĄTA.

Marysia, Szczepan.

Marysia
~~Marcin~~ (*zatrzymując się przy drzwiach.*)

Jakiś wojak?..

Szczepan (*do siebie.*)

Śwarna dziewczucha, muszę do niej po nie-

miecku, albo po taliańsku zagadać (*głośno*) Ach *donerwetter krajc, gut morgen noch a mal, bon dziorna ragaca!*

Marysia.

Cy oni co chcą?... bo ja ich nie rozumie, to może oni niemiec?

Szczepan.

O nein Mamzel, ja jestem tutejsy lancman Maladeto! mam tu przeróżne *gieszefta*, a największy do ciebie mój *hercku*.

Marysia.

Do mnie?

Szczepan.

Habacht, richtaj! pośprechujemy sobie po italiański, ja mamzel musę wystuderować, a najprzód zacniemy od tego że cię pocałuję jako *Italiany (bierze się do niej)*.

Marysia.

Obejdzcie się, u nas nie Italia!

Szczepan.

To mi jest *olles eins*, ja cię musę na italiańskie *fertig* przerobić.

Marysia (*ucieka, Szczepan goni ją*).

Idzies sobie, o rany boskie! ratujcie!

SCENA JEDENASTA.

Marysia, Marcin, Szczepan.

Marcin (*wpada*).

A to co? (*odtrąca gwałtownie Szczepana od Marysi*) Puscaj ją ty zbóju!

Szczepan.

Donner wetter Schwarcjur! ty chamski chłopie. Co się ty zrywas rebelancie na cesarskiego wojaka, ja ci tu wnet dojadę (*dobywa pałasz*) *Maladeti tedeski!*

Marcin.

Wara! ja się twego kozika niezłękne, a schowaj mi go zaraz, bo nietylko oberwies po karku ale jesce i do plackomendy na skargę trafię.

Szczepan.

Do *plackomande?* (*chowa pałasz*) mas

glik ze mię *fajer* ominał, bobyś się mógł bardzo špatnego *ślusu* docekać.

Marcin.

Powiedzno wasan co tu chces i pocoś tu przysedł?

Szczepan.

Jabym cię prędzej mógł ferherować ty knefliku, co ty mas za racyę do mnie? ja to *was anders* ja mam tu *recht* być, bom nietylko tutejsy *laneman*, ale z tej dominni i z tej chałupy.

Marcin (*uderzony tem*).

O mój Boze... może to oni?. moześ to ty?.. a.. a jakze się oni zowią.

Szczepan.

Sztefan Hahn!

Marcin.

Eh to nie on, próznom się radował.... ale ~~skoro~~ macie takie przezwisko....

Szczepan.

A bo to widzisz, to jest moje *auślandzkie*

przezwisko po tutejszemu to mię chłopcy nazywały Scepon Koguciak.

Marcin (*chwyta go w ramiona i ściska z największą radością*).

O mój Boże, toś toty kochany bracie!.. niepoznałeś mię to Sceponku?..to ja twój brat Marcinek!

Szczepan.

Co zaś śwandrujes? dyć Marcinek to był nieduży chłopak.

Marysia (*śmieje się*).

Toć przecie bez pięć roków musiał urosnąć. Witajze Sceponku, nie poznałeś mię to, dyć ja jestem Marysia:

Szczepan.

Donnerwetter! jakze tez to te śpicbuby powyrastały!

Marysia.

Cekajze! musę skoknąć do karcmy po ojców, toć to dopiero będzie uciecha (*odchodzi*).

Marcin.

Jakze się miewas Sceponku, takem cię jus dawno niewidział (*chce go uściskać*).

Szczepan (*pompatycznie odpychając go*).

Nix draus! halt! no, wie gejc Bruder?

Marcin.

Jakze to bracisku, to mię ty nieuscisnies?

Szczepan.

O nie, *nein*, to nie jest *recht*, ja jestem Kapral, a ty nawet nie jesteś *gemein*.

Marcinek.

Ba i cóz to znaczy, któzby tam na takie furdy uważał, kiedy ja cię kocham Sceponku.

Szczepan.

O ja! to znacy duzo, bardzo siła znacy. I ja cię kocham bruderku, ale tak zdaleka. *fer-standen*; Coby sobie moje kamerady pomysleli, jakby uwidzili ze sciskam się z chłopem?

Marcin.

Chociaz chłop, ale twój rodzony brat, przecies i ty Sceponku byłeś chłopem.

Szczepan.

Halc Maul! Śweig! du ferfluchter Bagaze! Nie rezenuj. Ja *durch* premasirowałem siła landów, stałem w rozmaitych lograch i feštunkach, to mi nie śpiluje nawet patrzeć na ciebie.

Marcin (*smutno*).

Sceponku, ty zartujes?

Szczepan.

O nie, *nein*, nieśpasuję, i nie hunieruj mię Sceponkiem, ale *antfeder* panie Sztefon, *oder* panie Kapral.

Marcin.

Ha, no kiejście tak zhardzieli ze brata niechcecie uścisnąć, to się wam patrzy aby ojców przywitać. Oni tu bardzo wyglądali za wami. Pojdźcies!

Szczepan.

Ja nie pojde, niech oni tu przyjdą bo są młodszy jako ja.

Marcin.

Cyście osalali, toć przecie Ojciec i Matka
wprzódy się rodzili.

Szczepan.

Prawda, ale kuźdy cywil choćby najstarsy,
młodszy jest od wojakā, *ferstanden*?

Marcin (*do siebie.*)

Owaryowała bestya!

Katarzyna (*za sceną.*)

Kaj mój Sceponek, kaj mój Sceponek!

Wojciech (*podobnież.*)

Sceponku! Sceponku!

SCENA DWUNASTA.

Dawni. Katarzyna, Wojciech.

(*oboje wpadają szybko, porywają między siebie Szczepana i sciskają go.*)

Katarzyna (*razem z Wojciechem.*)

Jakże się mas mój Sceponecku.

— 32 —
Wojciech (*podobnie*).

Witajże miły Synu!

Szczepan (*odsuwając ich z wolna*).

Langsam Faterku! *langsam* Mutterko!
puśćcie mię bo mi *knochy* połomiecie.

Katarzyna Wojciech (*zdziwieni*).

Jakto? co czemu?

Marcin (*smutno*).

Bo to nie Sceponek, ale pan Kapral.

Katarzyna (*przypatrując mu się*).

Co ja słyse, mój Sceponek został Kapla-rem. A a dalibóg ze prawda. Mój Sceponku jakżeś ty został kapralem, kiedy nawet cytać nieumiesz.

Szczepan.

Ale zato bardzo sykownie pişe.

SCENA TRZYNASTA.

Dawni. Stanisław.

Stanisław.

A witajże miły Sceponie.

Szczepan.

A cóz to za *fidelius*? (podnosi z niechęcia rękę do kaszkieta) *Servus!*

Katarzyna.

Witajze go pięknie, bo to przecie pan Stanisław, ojciec twojej Franki.

Szczepan.

Jakiejze znowu Franki?

Katarzyna.

Myśwa tu umyśliili z niemi, ze się z ich córką ozenis.

Szczepan.

Co? jabym się miał zenić z chłopską córką? *ferflucht noch a mal багаż!* Ejze! bo jakbym wziął simptować i dunderować, tobyście poznali co ja umię.

Katarzyna (urażona).

Chłopy, chłopy? cie? niewiesto ześwa po skasowaniu pańskiego ostali ślachcą, niesłysałeś to?

Szczepan.

Cóżbym nie słysał: toli jakim był za

Krankfotra w Peskieze to ta o tem gadali rekruty, ze teraz juz nie ma ślarchy, ino chłopcy i panowie.

Katarzyna.

O ba, tośwa tyz ostali panami, bo mamy swoje grunta i niepotrzebujewa robić, jeno płacić podatek, ale kumornicy będą nam odrabiali pańskie, bo są podlejszej kondycyje od nas, a przetośwa wyśli na ślarchę.

Szczepan.

Taka ślarcha byle jaka, to u mnie mniej znacy jak stara patrona wykręcona z gweru. A mnie co po chłopskiej dziewuse, kiedy jo mam grefinę w Italije.

Katarzyna.

Co ty gadas Sceponku?

Szczepan.

Wcale prawdę. Łońskiego roku staliśmy w Majlandzie, a ja byłem też za *Krankfotra w w garnizonszpitalu*. Otoz na *fasing* zrobil się tam *aufstand*, niby *rebelia*, co się to Taliany porwały na naszego najjaśniejszego Cysarza. A kurat włazę z drugoma *krankfotrami* do

japteki, a tu ci jak huknie z *kanonu* na *kasztelu*, tak ci nam od strachu buch *basy* z *medycyną* na ziemię, aze się *dekiel* połamał. Dopiero jak ci nie wezmę zmykać, azem się opamiętał u jednej morawskiej kucharki, co służyła u taliańskiej *grefiny*. Co robiwszy, nas regiment *wyretirował* z Majlandu, a ja ci nic nie wiedział, bom w piwnicy siedział. Dopiero jak juz nasych nie było, to moja panicka bojąc się okrutnie rebeliantów, uprosiła *grefiny* ze- bym się został dla prześpiecności od insurgien- tów.

Katarzyna.

I ostałeś się Sceponku?

Szczepan.

No *ja!* zrobili mi tam kwatirę na drugim *stoku* i siedziałem bez mała rok.

Katarzyna.

A cóżeś tam robił?

Szczepan.

No... cóż? miałem kost jakby sam *Graf*. . a jak mi się tam cnęło, tom... tak... sobie no- sił wodę i drzewo rąbał...

Katarzyna.

Podajno stary gorzałkę! (do Szczepana ciekawie) A rebeliantry nic ci nie mówiły?

Szczepan.

Gwaltu! reta! abo to raz chcieli mnie wziąć do *pryzomu*, a od rana do nocy dawali do mnie *siusy* jak do *siajby*, ale mieli przestraśny *furcht* przedemną bo skorom jeno nos wysczyżył, zaraz *fluchtowali* do *Piemonteza*. Brzyćkie tez to bestyje, najwięcej o jednym oku. Nic nie jedzą tylko wojackie mięso, a krew to z takim *lustykiem* piją, jako wy pani matko snaps.

Katarzyna.

O rany!

Wojciech.

A jakżeś się do swoich dostał?

Szczepan.

Widzicie jak *Feldmarsial* Radecki zbił rebejlantów, tak tez i Majland kapitulirował, nasi wleźli do miasta, a ja narukowałem do regimentu Poślimy potem do *Brescyje* i tam my śturmowali. Tom ci tam cłeku z jednego

domu, z ćwartego *stoku* rebejlanta na o-
knem wyrzucił i za to cstałem Kaprolem.

Wojciech (*przynosi wódkę, nalewa, pije do Szczepana, poczem kolej nieustannie obchodzi.*)

Do ciebie Sceponku. Ale ze cię tez te
insurgienty nie zjadły?

Szczepan.

Pijcie zdrowo. Mnie zjeść nie mogli, bo
oni są tak jako zydy albo tureckiej wiary, to
takiego mięsa jak moje nie jadają (*bierze kie-
liszek i trzyma*) ale mi chcieli skórę złupić i
zrobić z niej rebejlancki bęben: więc się na
mnie zakradali i przeróżnie spekulowali. No
jakem tez raz wypadł z kwatiry, tom ich *kuplą*
nabił tyła, coby bez cały rok nie porachował,
wtedy to aż do Francuza *retiradę* robili, a ja
za nimi aż do Nowary *awansirowałem*. (*pije
i spluwa*) Brr! cóz to za okrutne świństwo?..
(*pije*) Tfy....

Katarzyna (*zdziwiona*).

Co ty wygadujesz Sceponku?

Szczepan.

W całej Italii śnapsa nie pijają (*pije*) szpa-

tny śnaps... ani sposobu go pić. (do ojca)
Nalijcie mi jeszcze....

Wojciech.

A cóżeście tam w Litanii pijali?

Szczepan.

Wein... ale jaki *fein*. Bodajto Italija to dopiero *land*. Zebyście ją mogli dostać, tobyście lepiej wyśli jak na wszystkich pańszczyznach, *Halba fein Wejnu* dwa dudki kostuje. *Fleisiu* jak kupis w *fleisbanku* to przy nim *ka*chów nic ma, a najfajniejszą oliwą *Stible* pucują.

Wojciech.

O! o! przesoliłeś Sceponku.

Szczepan.

Nie przesoliłem, bo w Italii soli nie znają.

Katarzyna.

Twoje zdrowie. (*pije*) A jakże tam śledzie solą?

Szczepan.

Śledzie? (*pije*) brr, tfy, a cóz to za *sakramenska* gorzółka... (*pije*) Śledzie to sma-

zą w *feinoliwie*, a *Wenedyku* na *fasing* to po tłuconym cukrze, saniami jeżdżą, bo tam śniegu nie znają.

Wojciech.

Jakto zaś, a cóz tam w zimie pada?

Szczepan.

Cózby miało padać, kiej tam zimy nie ma. Abo to tam taki zatracony *Land* jak tutok? Tam jest zamiast ulic woda i po *Kanalegrandy Sify* chodzą: kieby nie te bestyjskie rebelianty, toby ci było zycie.

Stanisław.

Owo kiedym jesce był ladajakim chłopem tom jeździł z ciarachami z Warszawy po wino do Mady: to co prawda widziałem jako Madziary nabolale grona dawali trzodzie, alem ta zaś nikaj nie słyszał, zeby kto się woził po cukrze.

Szczepan.

Boś głupi chłop, *śweinhund*, to nic niewies. W Italii to ta *Weinberów* nie ma, tam wino ze źrodł bije, mógłbyś pić siła chces, ale cóz kiedy bestyje zydy propinacyę wzięli.

Wojciech.

To i tam są zydy.

Szczepan.

Ba kajze ich więcej skoro sam *piemontezki* król jest zydem i wsyćkie jednorały tez zydy.

Wojciech.

Straśna mi się robi oškumina na tę Litanię. Mnie się widzi zeby ją mogli naszym gospodazom oddać.

Stanisław.

Co jej nie mają oddać. Dali jedno, to i drugie dać muszą, abośwa to niezasłuzyli na to. Cy to *Krajshatmon* w Tarnowie przed trzema rokami na moje ręce nie wypłacił gromadom więcej jak dwiesta reńskich, a jus wiecie za co..

Wojciech.

Trza jeno zeby wójcia pozwolywali gromady i podać suplikę do Wiednia.

Szczepan.

Nierwijcie się z suplikami, bobyście ztamtąd umykali, jazby się za wami kurzyło.

— 61 —
Wojciech.

A to bez co?..

Szczepan.

O bo tam są okrutne batalije. Jak wezmą z kanonów bić to jaze moze jęcy. Juz to co prawda to dla mnie iść do batalii tyle znacy co *śtuk flajsiu z kumisem* przetrząbić. Mnie batalija, a *kirchparada*, to *olles eins*. Widział ja ich więcej anizeli dni w roku. Nie raz tom sobie od rakiety fajkę zapalał (*chłopy kiwają głowami*) a głów uciętych widziałem tyła, ze-
bym ich i bez dziesięć roków nie zrachował.

Wojciech.

I z kimżeście się tam bijali, cy jeno z rebelantami?

Stanisław.

Ej toć to nie wielka śtuka... toć my wiemy co to rebeljanty.

Szczepan.

Ale z *rebeljantami!* A z *Piemontezem*, co jest niby taki król jak najjaśniejszy Cysorz, jeno niby na małym *landzie* siedzi, ale ma tak dobrze *fanteryą* i *kawaleryą* i *kanony* i *fe-*

štunki i *sify*, albo tez z papieżem co ma jako i my regimenty i jednorolów.

Stanisław.

Jakto zaś z papieżem, przeciez to Ojciec święty, a najstarsy ksiądz, to się nie bija.

Szczepan.

Ale ksiądz! taki jak ja, a któż wam to powiedział? Nie wiecie to co on zrobił?

Stanisław.

Skądzebyśwa wiedzieli?

Szczepan.

A dy ci cłeku on zrobił taką rebeliją jako i Piemontez a tak się bronil ześmy mu nie mogli dać rady, jaze musiał *Feldmarsial* Ra-decki po Francuza poselać. Dopiero šturmo-wać do Romy a my do Ankony. Dopiero jak ci ujrzał ze nie peć, tak ci siadł na *ajzybon*, pojechał do Widnia i musioł nietylko pięknie przeprosić, ale i zapłacić stokroć tysięcy reń-skich, a nam dać po miedzianem mentalu. Oj ludzie, ludzie, kiebyście wy widzieli bataliją, to-byście jak psi od strachu pozdychali.

- 63

Spiew No. 4.

Gdy batalia się zaczyna
Huknie armat miliony
Bum! Bum!

A wnet kuzdy, z kuzdej strony
Trzęsie się kieby osina.
Już grzmią trąbki i plekierów
Trarara, trarara, trarara,
Fanterya pocyna z gwerów
Brrr! Brrr! Brrr!
Granat pęka mi przed nosem

(Odskakuje) Bęc!.. (Naśladuje ustami puszczenie rakiety i klaska ustami.)

Wszyscy.

Cóż to to?

Szczepan.

To rakietka (*śpiewa dalej*).

Trupy krzyczą strasnym głosem
Hurra! hurra! hurra!

A z trupów wznoszą się góry
Sięgające jaze w chmury.
A krew w strasne rzeki wzrasta,
Zalewa wioski i miasta..!

I wtedy chociaż z natury
Jestem sobie wojak srogi,
Przeciez kryję się do dziury,
Albo co tchu zmykam w nogi.

Dzięka Bogu ze to juz minęło, bo jak se spomne rebelantów, to mię taki *fajer* napada, taka złość, zebym tak *stychował*, strzelał, bił! ciachał (*biega z pałaszem po izbie, Katarzyna z krzykiem ucieka.*) Takbym rad na cem tę złość spędzić. Pani matko!

Katarzyna (*uciekając*).

O rany!

Szczepan.

Nie macie tam kaj gęsiny?

Katarzyna (*uspokojona.*)

Oj cózby nie było, pójdze, pójdź. Jest gęsina, kołace, gorzołka, to zapomnis tych strasliwości. Pójdźcie i wy Stanisławie.

Wojciech (*oglądając się, że Wojciech nie idzie.*

A pójdze i ty Marcinku!

Marcin.

A ja tam, po co, wolę tu ostać.

Katarzyna.

A to znowuj co?

Marcin.

Ja to nie lubię słuchać o wojnie, ani o rebelantach, bo się boję.

Katarzyna.

Pójdźże, napijes się krztynekę, to cię bojaźń odleci.

Marcin.

E.... jo ta nie chcę gorzolki...

Szczepan.

Dajcie mu spokój muterko, to juz taki ~~szakramencki~~ cywil zatracony. Jak mu dadzą *gwer* i pójdzie na *egzeczyrkę* to nabieze *ferstandu*.

Katarzyna.

Osalała sobaka, gorzolki pić nie chce. Wyrosło chłopsko na moją turbacę, co mi jeno wstyd robi. Siedź głupi kiej nie wies co dobre, pójdźwa (*odchodzą*).

Szczepan do ty

SCENA CZTERNASTA.

Marcin sam, później felc wobel.

Marcin.

Mocny Boze oni jeno w gorzolce widzą uciechę, a mnie ledwie ściurnoscy nie porwą; jesce i ten Litanian do reśty im we łbach poprzewraca i będą mi zaprzecali Marysi. Oj Boze! cóz też to za taka robota, jaze mi się bład chwyta.

Spiew No. 5.

Któż poradzi w strapacyi
Brat gada o Litanii,
Matka całkiem pogłupieli,
Bodaj też to bisi wzięli.

Wszyćkim ino państwo w głowie,
Państwo we łbie, państwo w mowie,
A cłek ino na tem traci,
Bodajtez to wzięli kaci.

A ja biedak, wciąż się męcę,
Mało ze se łba nie skręcę,
Ani myśleć o Marysi,
Bodajze cię wzięli bisi.

2 Marysi

Feldwebel (*stary żołnierz, poważny, całkiem odmienny od Szczepanka.*)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Marcin.

Na wieki wieków. Amen. (*z niechęcią*) Ciel znowu się wlece jakisik Talijan.

Feldwebel.

Powiedzno mi mój bracie, cy żyje i tu mieszka Wojciech Koguciak?

Marcin.

A cemuzby nie mieli żyć i kajzeby mieskali jak nie tu?

Feldwebel.

Jeśli je doma, to go zawołaj, bo mam do niego interes.

Marcin.

Jak macie co do nich panie wojak, to moziecie i mnie powiedzieć, bom ja ich syn Marcin.

Feldwebel (*przychylnie.*)

Marcin, prawda, pamiętam cię Marcinku.

— 68 —
Marcin.

Jakto, to oni mnie znają!?

Feldwebel.

Znam was wszystkich, ale.... ale.... tu była jeszcze dziewczyna... u twoich ojców, czy żyje?

Marcin.

Toć, jesce by tez nie żyła, a toćbym i ja nie żył skoro by ona umarła.. widzicie....

Feldwebel.

A cóz ona cię tak bardzo obchodzi?

Marcin.

Ej co wam ta do tego panie wojak.... dość na tem ze kieby mi matusia i tatuś niezaprzecali, toby juz do tego czasu nie była Marysia jeno Marcinkowa Koguciakowa.

Feldwebel (*ze śmiechem.*)

Tak... a dla czegoż ci ojcowie zaprzecają Marysi.

Marcin.

Ha no... bo mają się za wielkich panów, za ślachtę i chcieliby zebym se pojął jaką kmiećką córkę, a ze Marysia biedna, nie ma nic, to nie chcą takiej uczciwej i pracowitej dziewczuchy. Ale kieby oni se łby pourywali to ja i tak muszę Marysię pojąć...

Feldwebel.

Jakto Marysia biedna. A przecież ja sły-
szałem że to domostwo i grunt do Marysi po
ojcu się patrzy.

Marcin.

Widzicie jak Bartłomieja wzięli do wojska,
to on się chciał wykupić. Tatuś też wzięli spła-
ckę po ojcach i dali Bartłomiejowi kilkaset reń-
skich i jeszcze dopozyczyli u zyda, a za to znów
Bartłomiej odprzedali im grunt i chałupę.

Feldwebel (*na stronie.*)

Czułem, że się tutaj coś złego stało, jacy
nieuczciwi (*głośno.*) To pewnie tobie ten grunt
mają oddać.

Marcin.

Aha, zaraz mnie? a w cózby się obrócił Sceponek, wielki wojak, pan Kaprol.

Feldwebel.

Cóż to za Szczonek?

Marcin.

No jużcié mój brat, co wrócił z Litanii. Jak ci go ujzreli, jak im wziął bajać co on to zrobił, jako milion rebelantów zabił i grefinie wodę nosił, takeć juz teraz pewnie mu spuszą gospodarę, a mnie jesce do służby kaj wyścigają.

Feldwebel.

A do wojska niemasz ochoty?

Marcin.

Oj nie mam ci nie, bo najpzd ze się okrutnie boję, a potem ze to grzech ludzi zabijać.

Feldwebel.

A gdzie... ta... Marysia?... bo widzisz ja jej od Ojca przynoszę pozdrowienie.

Marcin (*uradowany.*)

Od Ojca... Od Bartłomieja... to oni zyją..
o niechże będzie chwala panu Jezusowi, boć się
tez biedne dziewusysko dosyć o tatusia napła-
kało. Cekajciez... to ją tu zawołam (*woła.*)
Maryś! Maryś! pójdzino haw!

SCENA PIĘTNASTA.

Feldwebel, Marcin, Marysia.

Marysia (*wchodzi zapłakana.*)

Marcinku!.. Marcinku!..

Marcin (*przełknięony.*)

A ty czego płacesz dziewczucha?

Marysia.

Bo.. bo.. pani matka powiedzieli mi..
zebym się zbierała.. zebym spakowała przyo-
dziwę i... ze.. (*szlocha*) ze muszę jechać kajsik
we świat ze zydem.

Feldwebel.

Mój Boże!.. to ona..

Marcin.

A to znowu co? cóż ty gadas?.. rany boskie... toć to jus sprawka tego złodzieja Mośka... Cichojze Maryś... no cichojze.. Panie wojak... A pójdźciez przecie co radzić, no.. niewidzicie to... Marysia płace (*wybuchu płaczem.*)

Feldwebel.

Uspokój się Marysiu.. nic ci nie będzie.. Przecież masz ojca, a on ci nie da krzywdy zrobić.

Marysia.

Ojca... o cudowny Jezu! mój tatuś dawno nie żyją; kieby oni zyli nie przysłałbym na taką poniewierkę pomiędzy ludźmi. Wzięli go do wojska, kiedy mi było seść lat, zagnali kajś w dalekie kraje, a oni tam z turbacyi pomarli. (*płacze.*) Oj biedny mój tatuś... biedna ja sierotka.

Feldwebel.

Czy pamiętasz twojego Ojca?..

— 73 —

Marysia.

Nie miałabym pamiętać? Do dnia, jesce my spali, zaczęli się dobijać do domu. Tatuś wstali i otwarli, a oni kazali mu się zbierać. Zaczął mię nieboracek całować i płakał okrutnie. Ja byłam wtedy malušką, głupią dziewczuchą, ale mi się okrutnie serce ścisło, i płakałam tez. Potem go powiedli do miasta. Jędrzejowa wzięła mnie na rękę i słyśmy z niemi aze do figury za wsią. Juz go tez więcej nie widziałam. Chowali mię przy sobie Wojciechowie. Zrazu mi było dobrze; tatuś parę razy pisali, ale potem przestali, a raz jak Wojciech wrócił z miasta, tak powiedział, ze tatuś umarli i ze grunt i chałupa do nich należą, i pocęli się zemną obchodzić gorzej jak ze sługą. O dobytek niechodziło mi wcale, ale za tatusiem płakałam okrutnie i co sobie wspomnę to zawdy płacę. O mój tatusiu, mój tatusiu jedyny! ani tez wiem w której stronie świata cię pochowali
(*placze.*)

Feldwebel.

Biedna Marysiu! nie ty jedna jesteś nie-szczęśliwa. Widzisz i ja mam córkę. Trzynaćcie lat służę przy wojsku a przez cały ten czas nie puścili mię na urlop. Pisywałem do niej, ale

mi donieśli że umarła. Napłakałem się dosyć i przestałem pisać, bo mi o gospodarstwo ani o dom już niechodziło, skoro straciłem dziecko. Dopiero przed trzema miesiącami, jeden rekrut powiedział mi, że ona żyje. Niedługo już miałem dosłużyć, dostałem abszyt i wracam. Wiesz moje dziecko, że mnie Bóg pocieszył, może też i ciebie Jego łaska pocieszy.

Marysia.

O święty Jezu. czy ty Pan Bóg zesłał was na moje pocieszenie, musieliście też za waszą dziewczuchą płakać, zawdy spominać, tak jako ja mojego biednego tatusia.

Feldwebel.

Czy o niej wspominałem?..

Śpiew No. 6.

1
Śród krwawych bitew, gdy huczące działa,
Śmierć i zniszczenie roznosiły w koło,
Szedłem do bitwy z radością, wesoło,
Bo cóż po życiu, gdy dusza zboleła.
2.
Niedbałem o śmierć, niedbałem na rany,
I tylko Boga prosiłem w mej nędzy,
Aby mi raczył zesłać zgon czempredzej
I wziął do siebie, do córki kochanej.

— 75 —

Marysia.

Biedny uczciwy żołnierzu, niechże wam Bóg dozwoli jak najprędzej zobaczyć córkę, a prosicie też pana Boga, żeby mię też pocieszył.

Śpiew Marysi
Feldwebel.

Nieturbuj się moje dziecko, pójdę pomiędzy kamratów i dowiem się o twój ojca. Może on też przyszedł z nami, może go ujrzysz prędzej aniżeli myślisz. Bądź dobrej myśli, ja tu zaraz do was powrócę. (*Odchodzi w głąb, Marysia za nim. Marcin na prawo.*)

SCENA SZESNASTA.

Szczepan, Katarzyna, Wojciech, Stanisław (*wchodzą z lewej strony.*)

Katarzyna.

Chwałaz Ci panie zeście się przecie jakoś ugodzili. Skoro jus Sceponek obiecał ze się ze Stanisława Franką ozeni, to jeno dawać na zapowiedzi i tyła.

Szczepan.

Nie pojąłbym ci jej, żeby nieto ze da trzy-sta papierków, boć co prawda to ta niewielki honor dla mnie zona w górnicy. Wolałbym służyć jesce jedną *kapitulacyę*, to alboby mię *awansirowali* na *lajtmana*, albo też *patent* wysłużył i siedział na *retrycie*.

Katarzyna.

Niewydziajajno tak bardzo, lepiej ci tu przecie siedzieć na gruncie, jeść, pić i nic nie robić, anizeli się włoczyć po świecie i jesce kaj w batalii kulką w łeb dostać.

Szczepan.

Wiecie co ze mię juz zacynacie nudzić wasemi obządskami. Jabym tu wnet z wami skrepiował. Wolałbym w Italii być *siustrem* i *Zole do Stiblów* pasować, anizeli tu być takim jako wy ślachcicem. Jak mi sprzykrzy, to się będę meldował w *Werbecyrku*, żeby mię *transportem* poprowadzili na spadek do *Stajermarku*, albo do *Italii*. Z całym wasem ślachectwem toście nie warci italiańskim żydom świece na sabas pucować. Jak mi nie dacie spokoju to zaraz się zbierę *Sakum pakum* i powandruje do

Majlandu. Oj śliczna Italio! ja tu skrepiruję
przez ciebie.

Spiew Nr. 7.

Niemas jak w Italskim landzie,
Dziewuch tam bez liku,
Cy w *Brescyi* cy w *Majlandzie*,
Cy tez w *Wenedyku*.

Pomorońcy tam jak śmieci,
Na futrunek trzodzie dają,
A ot takie małe dzieci,
Po italiańsku gadają.

Tam zyd nie jada cybuli,
Ni katolik śpeku,
A jak ucys się w *Simśiuli*,
W winie pływias cłeku.

Donner weter znaj hecioku,
Jakie to tam miasta,
Kiej nawet liście z tabaku,
Juz w packach wyrasta.

Kuzden wojak fajkę kuzy,
W casie *kirkparady*,
A nawet błoto w kałuzy,
Z cystej cekulady.

Nie uświadcys tam papierka,
Jeno srebro, złotko.
Na wojaka dziewczka zerka,
A ma gębę słodką.

Tam kuzda ma piękne miano,
 Tam się ~~zabiera~~ nie zwie Franka,
 A mnie kuzda Italianka,
 Mówiła *Synior Stefano*.

A niech was to piorun trzaśnie
 Z wasą Galicyjom!
 Ja zabieram kleinigkejty.
 Mars na Italijom.

Katarzyna.

Mój Synku! mój Sceponku nie róbze nam
 tego despetu i ostań się, to se i tu zrobimy
 Italią, a ja już skróć ciebie gotowam Italianką
 ostać.

Scepon Stanisław.

Wy, tfy do bisa, ha! ha! ha! Trza wam
 wiedzieć ze chociażby ze swięcą przewandrował
 całą Italią od *śpicu* do *śpicu*, toby nikaj takiej
 brzyckiej baby, jako wy nie znalazł.

Katarzyna (*rozgniewana.*)

Stulze gębę świdrygale, bo jakbym cię
 trzasła na odlew, tobyś wnet przez paśportu do
 Italii zaleciał.

— 7! —

SCENA SIEDMNASTA.

Dawni, Mojsiek, potem Marysia.

Mojsiek (*wsadza głowę przez drzwi.*)

Wojciechowa juz cas. Icek zaraz jedzie.

Katarzyna.

Zaraz, zaraz... ale pójdźno haw Mosiecku na chwilkę i zobaczcie mojego Sceponka.

Mojsiek (*do Katarzyny.*)

No ino raźno, wołajcie Marinkę (*Idzie do Szczepana i podaje mu rękę.*) *Ny wie gajc herr Sciepon, hob ihnen sajar lang nisch gesehen. Aj waj! wus is dues, wie hat er sich zin Kapral herworgebracht?*

Szczepan.

Ja... ja.. gut.. jud.. habacht!

Katarzyna.

No i cóż Mošku, jakze tam?

Mojsiek.

Ny, jak to jak?... wszystkiemu nie można powiedzieć... bo (*pokazuje na Szczepana.*)

Katarzyna.

Mozes gadać, bośwa juz powiedzieli Scepunkowi, ze ją trza wytransportować.

Mojsiek.

Po co tego było gadać... Nu Icyk tam stoi z budkiem za stodołem, ale on nie może długo czekać.

Katarzyna.

A dyć jej się kazałem zbierać... musi już być przyryktowana. Maryna! (*woła*) Maryna, a pójdze haw!

Marysia (*wchodzi z zawiniątkiem zawłakana*).

Katarzyna.

Pojedziesz z Ickiem do służby, bo my ci tu darmo jeść nie będziawa dawali. No Mošku weźże ją...

Marysia.

Ja nikaj.. nikaj nie pojedę, zebyście mię na miejscu uśmiercili. Nie macie prawa wyganiać mię z ojcowizny, bo to nie wase gospodarstwo, jeno mojego tatusia. Nie na to mię wam oddał, zebyście mię zydym sprzedawali. Nie pójdę! nie!

Katarzyna.

A ty zbereźnico jedna. Cóz to myślis ze cię będę prosiła, rusaj mi zaraz bo cię tak spowiewieram ze zywa z ciałupy nie wyjdiesz.

Mojsiek.

Nu pójdź, pójdź głupia, nie bądź taka ślifowana, nic ci się kiepskiego nie zrobi. Icek jest dobry zidek... un tobie będzie dobrze zryktować (*porywa Marysię i ciągnie ku drzwiom.*)

Marysia.

Gwałtu! ratujcie! kto w Boga wiezy!



SCENA OŚMNASTA.

Dawni, Marcin potem Feldwebel.

Marcin (*wpada i odtrąca gwałtownie Mośka.*)

Puscaj ją psiawiaro!

Mojsiek

*Aj waj! gewalt! zbójnik! panie kapral!
gewalt! rebellant! ganef!*

Marcin.

Ani mi się waz jej tykać bo cię ubiję.

Mojsiek (*zagadując Marcina.*)

Jak to co to jest, co ty mas do niej, cy ty
jesteś gospodarz? ty galgon! (*na znak Mośka,
Stanisław, Wojciech i Szczepan zachodzą z
tyłu i chwytają Marcina.*)

Szczepan.

*Halt bruder! rechcum! bobyś poszedł do
stokauzu i dostał żelaza, kurz-ślissen.*

Marcin.

Puscajcie mię! (*usiłuje się wyrwać.*)

Marysia (*którą Mojsiek i Katarzyna ciągną ku drzwiom.*)

Gwałtu! ratujcie!

Feldwebel (*stając we drzwiach.*)

Co to za gwałty! (*chłopi puszczają Marcinkę, a Mojsiek i Katarzyna Marysię.*)

Szczepan (*spostrzegłszy go.*)

O rety! a dyć to felebel od nasego regimentu, (*kryje się pod stół.*)

Feldwebel (*do Moška.*)

Czy wiesz jaka jest kara za gwałty!

Mojsiek.

Verzajen sie herr Feldwebel, aber jach kann niszt dafuer.

Katarzyna (*hardo.*)

A cóz wy się tu wrzacie do nasych spraw? Co to moze mi nie wolno wyścigać z mojej chałupy złej służącej?

Feldwebel.

Służącej, i ty śmiesz kobieto powiedzieć, że to jest twoja służąca?

Katarzyna (*zmięszana.*)

No... albo.. cóż!..

Feldwebel (*przystępując do niej.*)

Przypatrzo mi się lepiej Wojciechowa!

Katarzyna.

O la Boga!.. coś mi się ochapia... jeno ze tak nie mogę do razicku...

Feldwebel (*do Marysi.*)

Pójdź tu biedna dziewczyno... Ja jestem twój Ojciec!

Marysia (*biegnie z krzykiem do niego.*)

O mój Boże! Tatuś (*uścisk wzajemny*).

Katarzyna (*niezmiernie przestraszona.*)

O rany, a dyć to Bartłomiej. Święty Janie ratujze mnie!

Feldwebel.

Juz cię teraz nie wypędzą z pod twojej strzechy (*przystępując do Wojciecha groźnie.*) Kiedyżto sprzedałem ci gospodarstwo?. gdzie masz na to dowody?!

Wojciech .

Przepuście mi Bartłomieju. Ja tam nie jestem nijaki cygan, ani złodziej, jeno widzicie ze mię ano babsko podmówiło i tyła.

Katarzyna.

Oj Mościewy Bartłomieju! nie słuchajciez tez... poradziłaby to moja głupia babska głowa na takie okrutne cygaństwo, ale ten sachraj harendoz zaczął mię cudzić, manić, obiecować i zrobiło się tyła nieszczęścia... Oj mój Bartłomieju niechze tez oędzie wasa łaska odpuścić mi i wiem zebyście mi przepuścili, kieby się jeno jaka mądra głowa za mną ozwała... (*ogłąda się.*) Sceponku... Sceponku!.. A kajżeś ty?..

Mojsiek.

Ny! jakto kaj... siedzi pod stołem. (*wskazuje.*)

Katarzyna.

A poccoześ ty tam wlażł, pójdźże poratować matusię.

Szczepan (*wystawiając głowę z pod stołu.*)

Kiej mam *furcht!*

Feldwebel.

Co ja widzę? wszakże to forysic od regimentskapelana.

Szczepan (*biegnie i catuje go w rękę.*)

Niech się oni nie gniewają panie felebel!

Feldwebel.

Co znaczy to przebranie, dla czego masz na sobie kabat kapralski?

Szczepan.

E to jeno tak dla śpasu, chciałem sobie zrobić *jux* z ojcami i pozycyłem tego *kabata odregimencśnajdra*, co go wziął do wypucowania *fleków*.

— 8 —
Mojsiek.

To ty Scepon nie jesteś kapralem?

Szczepan.

E.. cobym zaś miał być... abo ja głupi?

Feldwebel.

Za to wykroczenie pójdziesz do aresztu?

Mojsiek.

Aj waj, wielmożny panie feldwebel, to jest skoda takiego wojaka dawać do hereśtu, un kilkaset rebelantów zaszcilił.

Szczepan (*ciągnąc Moška za hałat.*)

Halc maul Jud!

Feldwebel.

Kiedy zeszłego roku wojsko nasze po zwycięskiej bitwie zostało wyparte z Medyolanu, żołnierz Szczepan Koguciak schował się do piwnicy, za co za powrotem biegał przez różgi. Otóż to było jego waleczne spotkanie z rebelantami,

Dla tchórzostwa oddano go z linii do *regimentskapelana* za forysica.

Marcin.

Bartłomieju (*nieśmiało drapiąc się za ucho.*)
Cy ja też mam iść do herestu?

Feldwebel.

Nie, pocziwy Marcinku, tyś kochał moją biedną dziewczuchę wtedy gdy inni ją poniewierali, więc też skoro się lubicie, oddam ci ją z całym gospodarstwem, a ja sobie przy was wypocznę r.a stare lata (*z szyderstwem.*) Spodziewam się że już Wojciechowie jej nie wypędzą ze swego domu i pozwolą ci się z nią ożenić choć biedną.

Katarzyna.

O la Boga, a niechże się zeni z kochaną Marysiecką, dyć ja jej tu strzegła jak oka w głowie... jeno... tyła... ze... Ale teraz niechże im też Pan Jezus błogosławi na wszystkim (*łączy młodych*) a pamiętaj zebyś ją usanował, bo to familiantka.

Szczepan.

Stanisławie... wiecie ze kiej na nich patzę, to mi się jakoś okrutna ośkumina na zeniackę robi. Ej co tam, *kwit* z Italii, ożenię się z Franką.

Stanisław.

Hola, hola, córki za chłopskiego syna nie wydam. Jeżeli Franka nie pójdzie za amtsdina, to ją nie dam chyba za lancdragona.

Wojciech.

Stanisławie: nie bądźcie taki zawzięty, tożęśma stazy znajomi, nie pogardzajcie mojem dzieckiem.

Stanisław.

Furda wsyćko, ja sobie jestem gospodarz, a wy charłaki, kómorniki.

Szczepan.

Przecieście przodzi sami się meldowali... zebym do wasej Franki przyślusował.

Stanisław.

Jakeś był kapralem, ale moja Franka ani

dla gimajna, ani dla urlopnika. Próżno se gęby nie psuj, bo ja się z gałganami krewniać nie będę (*odchodzi.*)

Feldwebel (*do Katarzyny i Wojciecha.*)

Mógłbym was pozwać do sądu i nie małego wam przyczynić kłopotu, ale wyście przez trzynaście lat żyli pod jednym dachem z moją córką, więc wam przebaczam z całego serca. Możecie się wprowadzić do chaty pod lasem, i mieszkać w niej za darmo do śmierci.

Wojciechowie.

Bóg wam zapłać Bartłomieju.

Marcin.

Przepuście tez i Sceponkowi, boć ta on niezły, jeno głupi.

Szczepan.

Dyc oni wiedzą zem ja głupi, panie felebel!

Feldwebel.

No mniejsza oto niech, i tak będzie.

Szczepan.

Pokornie dziękuję im, panie felebel.

Mojsiek (do Bartłomieja.)

Ny! *lieber Herr feldwebel!* może ja mam pobeignuć po sznaps.

Feldwebel.

A dobrze żeś mi przypomniał (*wola.*) Kamraci! (*żołnierze wchodzą.*) Przetrzepcie tam dobrze temu łotrowi skórę, żeby drugi raz dziewcząt nie porywał i ludzi do zbrodni nie namawiał.

Mojsiek.

Aj waj... na co to? *Wusis dues?* (*żołnierze biorą go.*) Co to jest. *Aj waj! gewalt!...* to nie wolno, ja będę skarżyć do kryminał. *Aj waj!* (*wyprowadzają go.*) *Aj waj gewalt! gewalt!* (*głos niknie w odległości.*)

Katarzyna.

Niechże będzie Panu Bogu chwała ze się tak skończyło i ze nie sukacie pomsty na nas Bartłomieju. Bedzie tez to dla mnie nauka na

całe życie, żeby cudzego nie pragnąć, sierocie krzywdy nie robić, a przestać na tem co cłek zarobi.

Śpiew ostatni No. 8.

Kiej już ze ślachestwa kwita,
Trza się wziąć znów do roboty,
Choć ci państwo we łbie świta,
Nie krzywdź wdowy i sieroty.

Nie pomogą wszyscy święci,
Kiej skrzywdzony cię przeklina,
Zły cłek zawdy tak kark skręci,
Jako pani Kogucina.

Szczepan.

Choć nie kapral, ale cuję,
Zem wart ostać oficerem,
Boć nie ten awansiruje,
Który naprzód leci z gwerem.

Toć niejeden w batalii,
Jak Sceponek siedział w dziuze,
A gdy wrócił z Italii
Nosi krzyzyk na mundurze.

Mojsiek (*wsuwa głowę przez okno.*)

Chociaz zbity, choć oplwany,
Auf mein munes nie dbam o to,
Gdy w kieszeniów dzwoni złoto,
Idę śmiało między pany.

(Pokazuje worek).

To jest dyplom co mię brata,
Z każdym hrabiem, w całym świecie,
Mam *geld*. Ny, to i ja psiecie
Jestem też arystokrata.

KONIEC.



ŁOBZOWIANIE,

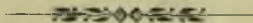
OBRAZEK DRAMATYCZNY

— W —

F(1)

JEDNYM AKCIE ZE ŚPIEWKAMI.

Przez Wł. L. Anczyca.



CHICAGO, ILLINOIS.

NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA.

1891.



OSOBY :

— **Hrabia.**

— **Szymon Brzostek**, radny wsi Łobzowa. =

— **Zosia**, jego wnuczka. =

— **Paweł Brózda**, zamożny włościanin. =

— **Magdalena**, jego żona. ==

— **Tomek**, ich syn. ==

Kuba, jego przyjaciel. ==

— **Stanisław**. =

— **Kasia**, siostra cioteczna Zosi. ==

— **Protazy**, pokątny doradzca. ==

Druźbowie, Druchny, Muzykanci.

(Scena we wsi Łobzowie pod Krakowem.)

Grane w teatrze krakowskim 1 raz dnia 31 grudnia,
1854 roku.

SCENA PIERWSZA.

Teatr przedstawia izbę w domu Szymona, w kącie po lewej stronie od widzów szafka kredensowa podwójna, od spodu drzwiczki, od góry krata a za nią widać półki; po drugiej stronie łóżko wysłane wysoko pierzynami; wzdłuż łóżka wielka skrzynia malowana żółto, w czerwone, zielone i białe kwiaty; nad łóżkiem poprzybijane pochyło jak zwierciadła dwa obrazy. Przed jednym z nich pali się lampa, za obrazami zatknięte palmy, pod spodem wiszą wianki święcone, przez całą długość sceny żerdź a na niej kukurydze i woreczki z nasionami. Na przodzie stół, ławy i stołki. W szafie na pułkach talerze cynowe połyskujące, u spodu w szafie kilka butelek.

Kasia i druchny.

(Kasia siedzi przy stole, na którym porozkładano rozmaryn, wije wianki z druchnami).

Spiew No. 1.

Kasia.

Oj skowronecek śpiewa,
Dzień się rozedniewa;
Zosieńka się stroi
Męza się spodziewa.

Druchny.

Wyjdźże do nas Zosiu miła,
Wyjdź do nas prosiewa;
Oj bo ci na wesele,
Wianecki wijewa.

Kasia.

Oj wijewa wianecki,
Z hojny, z rozmaryna,
A takie ślicniuskie,
· Jakoś ty dziewczyna.

Druchny.

Ze jesteś ładna dziewczucha,
Kazdy ci to powie:
Toć nie ma takiej drugiej,
W caluśkim Łobzowie.

Kasia.

Ostatnią dzisiaj nockę,
U dziadusia spała,
Jutro juz gospodarstwo,
Swoje będziesz miała.

Druchny.

Wychodź Zosiu ino rażno
Wychodźże juz przecie,
Boć juz i słońko wstaje
I dzionek na świecie.

SCENA DRUGA.

Kasia, Druchny, Zosia.

Zosia

(wchodzi z komory ubrana w świąteczne suknie, z wiankiem i wstążkami na głowie, lecz ubiór nie powinien być upstrzony świecidłami jak zwykle krakowianki ubierają.

Bóg wam zapłać moje druzki za wasze wiancki i za wasze śpiewki.

Kasia.

Jescebyśma ci nie śpiewały, kiejś dobra jak cukierek, ładna kieby rózycka, uchowałaś się z nami to któz ci zaśpiewa, jeśli nie my kiedy idzies zamąz. Az mi się dusa raduje, jak sę rozważę ze to dziś twoje weselisko; be-dziema tez to hulali, co ino nogi starcą, bez cały tydzień, dziś wesele, jutro cepiny i przeno-siny, po jutrze poprawiny, ... oj bedzie tes to uciecha! uciecha!

Zosia.

Uciecha dla was moje druzki, ale nie dla mnie; co mi to po tem wszyćkiem, kiej mi się Tomek ani krzty nie podoba.

Kasia.

Niebajze Zosinko, a cy cię to kto niewoli zebyś sła za Tomka, alboś to sama nie powiedziała ze go chces.

Zosia.

Powiedziałam, prawda, bom widziała ze mnie dziaduś radzi wydać za niego. Cłecysko stare spracowane, nie jemu juz w gruncie robić... Ale Tomek!... mój Boze!... kieby juz bies po jarmarkach nie gonił, po muzykach nie latał, tobyta jesce obleciało, ale kiej juz teraz przy mnie nie siedzi, co się do mnie zalica, cöz dopiero będzie potem jak mię pojmie.

Kasia.

A pocóżeś innego nie chciała, mało to śwarnych parobków we wsi? Dyc ino zobacyli ze twój dziaduś wycyntkowali wapnem wrota, to ich się naleciało kieby wróbli do prosa.

Zosia.

Znać juz takie dopuszczenie Boskie zebyśma się z niemi spokrewniali. Nieboszyk Tatuś sluzyli z Pawłem w wojsku a kiej matusia pomarli to mię Pawłowie cłowali u siebie.

Kasia.

Prawda, prawda, toć pomnę żeś ty miała iść za Staszka starszego brata Tomkowego.

Zosia.

Dobry Boże!... kaj on się tes obraca...
Jak go hrabia wziął na opiekę, tośmy go juz z pięć roków nie widzieli.

Kasia.

Wyście się zawdy lubili, pamiętam jak ci kuzdą razą piernicki z miasta przynosił.

Zosia.

To i teraz ile razy pise do ojców, to się zawdy dowiaduje o małą Zosię. Oj Stasicku, co się tes z tobą dzieje?...

Spiew No. 2.

Śliene gwoździki, piękne tulipany
Gdzieżeś mój Stasiu, Stasiu mój kochany?
Czyli cię wzięli zeglaze na moze
Ze się me serce utulić nie moze.

Astrologowie, co gwiazdy licycie,
Cy tez o moim Stasinku nie wiecie,
Moze wpadł w niemoc, moze biedę znosi,
Moze zabaczył o swej małej Zosi.

O serce, serce cóż mi za radę dasz,
Kogom kochała niemasz go juz, nie masz,
Oj nie ma, nie ma, i pewno nie będzie
Któż mię sierotę rozweselać będzie.

(Ociera łzy a potem mówi.) Ej, co ja się mam
turbować, nie pójdę za Tomka.

Kasia.

O bój się Boga! co tes ty gadas? przeciez
to juz po zapowiedziach, ino jechać do ślubu.
Ojcowie tyle gadziny napiekli, nakupowali wina.

Zosia.

Niechże sam wszycko pozjada i powypija.
Protaz dopomoze boć to jego kompanista.

Kasia.

Weż se jeno na rozum Zosiu, coby to było
za obmówisko między ludźmi, jakby cię tes
nase kumoski na języki wzięły.

Zosia.

A cy to nie wolno psu na Bożą mękę scekać.

Kasia.

A wo i druzbów co ino nie widać, toć i
oni mieliby do ciebie przestraśną urazę.

— 11 —

Zosia.

Niechże ta.

Kasia.

A biedny dziaduś staruszecek z turbacyi mogliby wpaść w niemoc, a mozeby i pomarli niebożątko.

Zosia (*szlochając*).

O Boże! mój Boże! jaka ja tes nieszczęsna, nikt mnie nie poratuje w moim frasunku; żeby tes choć jedna litościwa duszycka uzaliła się nademną.

Kasia.

Cichożje Zosinko nie płac!... Ochwiaruj wszystko Panu Jezusowi!... a potem nie rób se z tego nic. Z początku będzie ci się Tomek stawiał ostro jak kuzdy chłop, ale skoro pier-sa młodość przejdzie, to się przyzwycai i będzie wszystko robił po twojej woli. Protaza wyści-gas, Tomek się poprawi, jakoś to wszystko bę-dzie dobrze. (*Muzyka za sceną.*) Szłysycie dzie-wuchy, muzycka, otóz i druzbowie idą, a Kuba na przodku. Ślicnie grają i pięknie przyśpiewują jaze się serce raduje.

SCENA TRZECIA.

Dawni, Kuba, Drużbowie.

(Drzwi się otwierają, wchodzi dwóch skrzypków i basista. Za nimi Kuba i Drużbowie; wszyscy przy rzęsistych bukietach, wchodzi ochoczo śpiewając.)

Śpiew No. 3.

Kuba.

Niechże będzie pochwalony! witajciez dziewecki,
Przyśliśwa tutaj z pocesnem, dajciez nam miarecki.

Chór Drużbów.

A z nasych odwiedzin będziecie kontenci,
Niechże będzie pochwalony Bóg! i wszyscy święci.
Hop ha!... hop ha!

Kuba.

Oj nadobna Zosicko jużeś ty urosła,
Srogi cas na ciebie, zebyś zamąż posła.

Chór Drużbów.

Najmilsaś Tomkowi ze wszystkich dziewecek,
Oddał ci serdusko, dajze mu wianeczek.
Hop ha! hop ha!

Kuba.

Oj na łobzowskim zamku sowa sobie huka,
A Tomkowi serce, kiej młotecek puka.

Chór Drużbów.

A kiedy ci miły, niech prózno nie chodzi,
Nie zwódźże już chłopców, czepiec ci się godzi.
Hop ha! hop ha!

Kuba.

Tak kochana Zosicko! życzymy Ci z całego
serca, naprzód Tomka, potem dużo dzieci, a
samych chłopaków.

Zosia (*niechętnie.*)

Bóg zapłać!

Kuba (*do dziewcząt*)

A cóż wy dziewczuchy tak się bawicie nad
temi wianeckami, dyć jabym tego paškuctwa
nawił bez pięć paciezy cały półkosek.

Kasia.

Niewiem ześ to rażny kieby koń zydoski.
A kajze Tomek?

Kuba.

Co jeno go nie widać. A Protaz!... ten
się dopiero wystroił kieby lala, a jakie śwarne
buciska włożył, do krzty wykrzywione; jeden
obcas patrzy na Krowodrzę a drugi na Carną

Wieś. Tylko że jakiś nie lusy, widać że jeszcze blachy nie przewrócił.

Kasia.

Albo to nie przysięgał, że gorzolki pić nie będzie?

Kuba.

Jeno harak i hasancyją!

SCENA CZWARTA.

Dawni, Tomek, Protazy.

Tomek.

No!.... cóż gotowicie, bo już konie stoją ubrane, a jeno dziaduś z miasta powrócą, to zaraz jedziema.

Protazy.

Witam! witam pannę młodą! składający moje życzenia w dniu tak uroczystym (*wyjmuje tabakierkę i puka.*) A może panna Zofia pozwoli tabaczki, prawdziwa albanka z austryacką.

Tomek.

No cóż Zosiu!.... bardzo się tu przeze mnie stęskniła?

Zosia (*pogardliwie.*)

O! ha?.... jescyby nie!.... cy to nie ma za cym tęsknić.

Tomek.

To się wie ze jest!.... w całym Łobzowie, ba, nawet na całym ogranicu nie ma takiego zucha parobka jako ja. Pieniędzy jak lodu, a kiej się jeno w karcmie pokazę, wszystko przedemną ucieka!...

Protazy.

Mogę to własnoręcznym podpisem zakon-testować, a przy okazji wnoszę moją sprawę i i komunikuję prześwietnej pannie młodej moje allegata. Obyś tyle lat żyła ile moja tabakierka niuchów tabaki zawiera. Oby ci dzień dzisiejszy tyle przyjemności sprawił, ile mnie, kiedy pozwany na audyencyi nie stanie, i sprawę zaocznie na moją korzyść zawyrokuje. Obyś się całe życie prawowała, a każdą sprawę mnie powierzywszy, wygrała. Obyś....

Tomek.

Dajno juz pokój, bobyś se ze wszyćkiem popsuł symetryą we łbie. Juz to ten Protaz

to taki mądry, że nic nie mogę uchwycić z tego co prawi. Pocekej, jeno mi się mały Tomuś urodzi, to cię wezmę za profesora i wyrychtujes mi go na jadwokata.

Protazy.

Nie oponuję: wyuczę go prawa cywilnego, karnego i procedury.... tylko słuchajno pomysł tam o czem (*prztyka w gardło*) bo mi zupełnie inkaust wysechł w kalamarzu.

Tomek.

Daj mi spokój, dopierom ci kupił haraku z hasancyją, zawdybyś się ino przepisował. (*do Zosi*) Zosiu, cóz ty tak kwaśno patrzys na mnie, jakbyś się przedwcorajszego zuru najadła. Cy ja cię to nie kocham? dyć ino cię ujrzę, to mi się tak miło robi, kieby mi bez mała scur po piersiskach łaził, a kiej cię nie widzę, to mi tak przeciwnie jak Protazowi bez haraku.

Zosia.

Nie darmo tez ta uciekasz przedemną jakby cię sydła w pięty żgały.

Tomek.

Widzis, teraz to jesce moje, ale jak się o-

zenię, to mnie wtedy i kijem nie wyzenies z chałupy; będę siedział jak Krucek na łańcusku, a cózby się z parobkami stało, jakbym przy tobie bez cały dzień siedział. Któżby ich wodził? dyć kiej do karcmy przyjdę, kapelus na ucho nasadzę i w podkówecki utnę, to w całym Krakowskiem drugiego chwata nie znajdzie.

Spiew No. 4.

Parobeczek ci ja na całą gromadę,
Siecki rznąć nie będę, orać nie pojedę.

Parobeczek ci ja nie lada, nie lada!
Niechze mnie zaświadczy i cała gromada.

Jak do karcmy idę, i gorzołkę piję,
Kto mi w drogę wlezie, to go w pyski biję,

Dlatego się zenię nie kaj jeno na wsi,
Bo Zośka chleb piece i kapustę kwasi.

A szlacheionki nie chcą boby mię zniszcyla,
Jesce w łózku leży, juzby kawę piła.

I mieszconki nie chcą, bo okrutnie płocha,
Mężowi przyświadcza, a z innym się kocha.

I psechścionki niechcą zydowskiego rodu,
Wsysstekby mi cosnek wyzarła z ogrodu.

Ani zawiślunki, ani ograniconej,
Niechcę ci ja zadnej, jeno Zośki ślicnej.

Bo tez dla takiego parobecka zucha,
Nienada się jeno łobzowska dziewczucha.

Protazy (*zażywa tabakę.*)

Już to twoje *curriculum vitae*, choć nie *ex*

causa juris, ale *ex causa facti*, wynosi cię na stopień prezesa tutejszych gawronów, i jeżeli kiedykolwiek, co daj panie Boże, zostanę prezesem Sądu Apelacyjnego, to ci dam zaraz nominację na woźnego.

Tomek.

To niby tyła znacy, że kiebyś został gospodarzem tobyś mnie za ~~gnojarza~~ ^{szmuka} przyjął: (*karesuje się z nim dając mu w kark*) jaka bestya hojna. Ale kiejs to bisi, że starego tyle casy nie widać. . . . Wiecie co, niema co cekać, nim się ojcowie pozłazą, zejdzie do południa, jedźwa sami.

Protazy.

Dobrze osądziemy sprawę zaocznie i puścimy ich *per non sunt*.

Zosia.

Jedź se kaj chces, ja przez dziadusia nikaj nie pojedę.

Kasia.

Nie chodź Zosiu, nie chodź, kaj ojców nie ma, tam nie ma i błogosławieństwa Boskiego.

— 10 —
SCENA PIĄTA.

Dawni, Szymon.

Szymon.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wszyscy.

Na wieki wieków! Witajcie, witajcie, ojce Symonie.

Zosia (*biegnie do Szymona*).

Witajcie dziadusi! (*bierze go za ręce*) O mój Boże jakieście to zziębli.

Szymon.

Jak się masz moje dziecko! witajcie som-siedzi.

Tomek.

Aleście się tez ogniście wysiedzieli w mieście, jużeśwa myśleli przez was wyjechać.

Szymon.

Darmobyście jechali nieboraki.

Wszyscy.

Jakto?

Szymon.

Na nic wasza uciecha, ksiądz Probosc nie da ślubu jaz po Trzech Królach; próżno zapowiedzi wołali.

Zosia (*na stronie*).

A niechze mu tez Pan Bóg da zdrowie.

Tomek.

Widzicie go? a to bez co?

Szymon.

Samiśma wiinni, zapomnieliśwa ze to dopiero po Trzech Królach wolno brać ślub.

Protazy (*dobywa tabakierki i puka palcami*).

Wielkie to nieszczęście że kodex cywilny francuzki przestał obowiązywać przy zawieraniu związków małżeńskich, gdyż moglibyśmy wnieść skargę do prokuratora. (*zażywa*) No, i tak nie przypadło, będziemy rekurować do konsystorza.

Szymon.

Dajcieno pokój Protazy, co Boskiego Bogu; co się odwlece to nieuciece.

Kasia.

Święty Panie, tyla pieniędzy marnie pošlo.

Kuba.

Cózto, to i hulacki nie będzie? próżnośwa sprowadzili muzyckę i sykowali nogi.

Szymon.

Przyjdźcie dzieci po nieszporach, to se trocha zatańcujecie.

Kuba.

No, kiej tak, to tu nie mamy co robić, pójdźwa chłopcy, pójdźcie dziewczuchy, bywajcie zdrowi Symonie.

Kasia.

Ostańcie z panem Jezusem.

(Zosia, Kasia, Kuba, Druźbowie, Druchny i Muzykanci odchodzą).

SCENA SZÓSTA.

Szymon, Protazy i Tomek.

Protazy.

Ledwie mię djabli nie biorą ze złości; ty leście nagotowali wiktualów, specyałów, które tak apetycznie zalatują, wiercą w nosie i drażnią podniebienie, tfu!... aż mi się żołądek

przewraca... wszystko teraz pójdzie *ad acta*
Nie, nie... nic niepomocze... jakem Protazy
sprocesuję proboszcza.

Szymon.

Wszelki duch Pana Boga chwali! co ci się
snuje po głowie mój cleku? z kuźdym byś się
jeno prawował?...

Tomek.

Ej!... bo wy może zartujecie Symonie?

Szymon.

Czyżem ja na to 80 lat przeżył prawdą,
zebym na starość miał cyganić.

Tomek.

A bodajże to źli porwali!... (*odprowadza
Protaza na bok*) Słuchajno... nie poradziłbyś ty
co na to?

Protazy (*zażywa tabakę i oblizuje się*).

Mój Tomaszu, nic łatwiejszego; załóżmy re-
kus do konsystorza, a w razie odmównym do
Rzymu; zrobimy wpis w sądzie pokoju, po-
zwiemy księdza proboszcza o zwrot kosztów we-
selnych i o wynagrodzenie strat pochodzących

ze zwłoki (*bębni palcami po tabakierce*). Stęple, wpis, wyrok, kopie, wręczenia *notabene* nie będą więcej kosztować jak 15 cie reńskich, a źle byłoby gdybyśmy na Święty Michał nie mieli rezolucyi.

Tomek.

Cie! jaki mi mądry? ksiądz chce dać ślub za tydzień, a on mi kaze dać tyła pieniędzy i jesce trzy kwartały rezurekcyje cekać.

Protazy.

Ale cóż to za rozkosz zmusić proboszcza wyrokiem prawomocnym! wyexekwować ślub przez komornika.

Szymon.

Jeszcze wam cas nie przeszedł, obojeście młodzi. Za moich czasów parobek chociaż dostatnich rodziców, musiał służyć bez kilka lat u ojców swojej przysłej zony, zanim mu ją dali; ja sam wysługiwałem się pięć lat o moją nieboszckę, a miałem z górą lat 30 kiedym ją pojął.

Protazy.

Zapewne, zapewne. Ot spojrzij na mnie Tomaszu, ja mam lat 49, miesiące jedenaście i

dni dwadzieścia ośm, nie myślę wcale o związku małżeńskim.

Tomek.

By by cię też i sucha wiezba nie chciała. Wszyscy starzy jednacy, co im ta do tego ze się młodemu spiesy, kiedy się jus sami dobrze najedli.

SCENA SIÓDMA.

Dawni, Paweł i Magdalena.

Magdalena.

Kumotrze! cy to prawda, ze się dobrodziej śmiertelnie rozchorował, a wikary do Babcic wyjechał na odpust, ze na Piasku kościół zamknięty i nie ma komu dać ślubu?

Szymon.

O! o! o! cóz znowu za plotki; prawda ze ślubu nie będzie, ale probosc zdrowy jak rybka, właśnie od niego idę. Poczciwy dobrodziej, prosił mię siedzieć, ugościł starego szklaneczką wina; rozgadaliśmy się o dawnych casach, przypominał mi jakto nasi dziadowie królom służywali.

Magdalena.

No, kiej zdrów, dla czegoż nie chciał dać ślubu?

Szymon.

Kościół święty nie błogosławi, jaz po Trzech Królach.

Magdalena.

O ludzie!... kiej my tez to na śmierć zabacyli!... juz tak dawno po zapowiedziach i tak jakoś zupełnie z myśli wysło. (*do Szymona*) I to juz nie ma na to żadnego sposobu?

Protazy (*zrywa się z ławki na której siedział*).

O jest! jest..... *primo*.....

Magdalena (*do Protaza*).

A cichojez baju! no i cóz... jakze kumotrze?

Szymon.

A i cóz?..... przeczytał mi prawo kościelne... trzaby dyspensy od biskupa, głową muru nie przebije, przystałem na wszystko.

Tomek (*który siedząc na ławie od niejakiemu czasu rozmawiał z Protazem — zrywa się zły*).

Ba! cobyście nie mieli przystać; widzę ja

dobrze zem wam nie na rękę, wybyście woleli jakiego mącnika, albo krupnika z miasta dla wasej wnucki, dla tego tez kręciliście jak mogli, pókiście nie przerobili probosca na swoje.

Szymon.

Ja?!

Tomek.

A juści nie ja; mnie ta oców nie zamydlicie, ja wiem dobrze ze się jadwent końcy na Boże Narodzenie.

Protazy (*cicho do Tomka podmawiając go*).

Ostro z niem!... możemy go nawet przy-pozwać, zwłaszcza że to nie jest *impedimentum dirimens*.

Tomek.

Ale ja wam pokazę co to znacy zemną zacynać; wystawiać mię na straty i na obmówisko ludziom.

Protazy (*jak wyżej*).

Śmiało! śmiało!

Tomek.

Ja was się nie złękne, chociaście radny!

Szymon.

Mocny Boże!..... za to zem cię wypia-
stował prawie, tak mi płacisz?... tegom się to
na moje stare lata docekał, zeby mię lada chły-
stek poniewierał.

Protazy (*zażywa tabakę*).

„Lada chłystek” obraza honoru!

Magdalena.

Siedz cicho kiejś głupi, nie narusaj słusne-
go cłeka, coby nam wsyćkim mógł być ojcem.

Paweł.

Nie zwazajcie Symonie na tego góniaca.

Magdalena.

~~Cicho stary!~~ Mój Symonie! mój kumoter-
ku! co ta słuchacie tego próżniaka, dyć to głu-
pie jak młody pies.

Tomek.

O ba! Wyście okrutnie mądrzy, ale jeno
wtedy jak wypijecie kubek.

Magdalena.

A ty wisielaku!... ja cię tu wnet naucę,
jak złapię kija.

Protazy (*do Tomka*).

Niech bije! niech bije choćby do krwi; zrobimy *visum repertum*.

Tomek, (*nadstawia się*).

Bijcie! bijcie!

Magdalena (*chce go uderzyć*).

A naści! kiej chces.

Szymon (*zatrzymuje ją*).

Pawłowa dajcie pokój! dziś Nowy Rok! święto!

Magdalena (*chce go bić*).

Tem ci lepiej, będę go bez cały rok biła.

Paweł.

(*Odpycha ją i wystąpiwszy naprzód mówi groźnie do Tomka*).

Słuchaj no ty!... nie przyprowadzaj mię do obrazu Boskiej, bo jakbym ja cię chwycił wnet bym dusę z cielska wygonił!... ty mię znas! Rusaj mi z ocu!... wynoś się! (*chwytając ją za kark i popycha ku drzwiom*).

Tomek (*zuchwale*).

Wielkie rzeczy!... to idę. Protaz pójdź (*wychodząc*).

Protazy (na stronie).

Nietrzeba go z rąk wypuszczać, porachuję mu za to tęgę *viales* (wychodzi za Tomkiem).

SCENA ÓSMA.

Szymon, Magdalena, Paweł, później Zosia.

Magdalena.

O zbereźniku! zbereźniku! za moje pielęgnacje, turbacje, com się to z tem nauganiała, co to cłek grosa wysypał a teraz za moje dobre tak mną poniewiera.

Paweł. 

Mówilem ci nieraz. Magdalena nie załuj ręki; dziecko bić... to mu się drogę do nieba toruje; ale ty zawdy, zamiast po nim, bilaś po stole, po zydlu, po pierzynie, teraz juz na nic, nierychło po śmierci wędrować!

Magdalena.

A cy ja to nie matka? juz ja sobie z nim poradzę.

Szymon.

Próżno matka, próżno, wtedy habinę gną na obręce kiej jesce młoda, ale jak śmignie w drzewo, złamies ale nieugnies!

Magdalena.

Oj casy! casy! z kazdym dniem gorzej, nie było to jak dawniej! jak to nieraz Symonie wezmiecie opowiadać, wszystko było inacej.

Szymon.

To tez dziś i błogosławieństwo Boskie nas odstąpiło. Boże odpuść zdaje się jakby jus nas Pan Bóg nie tak kochał jak dawniej.

Spiew No. 5.

Mój kumotrze, źle się dzieje,
Miota cękiem los.

Kazdy z starego się śmieje,
Nicem siwy włos.

Nietak za mych czasów było,
Každy starca ccił,

Dzisiaj cęku tak niemiło
Radbym już nie zył.

Wprzódy cy młody, cy stary,
Kochał ojców swych;

Strzegł przykazań świętej wiary,
Zycie dał za nich.

Dzisiaj za nie dawna cnota,
Wszyćko w pieniądz dmie;

Wszyćkiem u ludzi garśc złota,
Źle się dzieje, źle.

Juz tez ciężko o mój Boze
Ciężko bracie mój;

Nikt staremu nie pomoze
Wysechł pociech zdrój
Załużmyz za nase grzechy,
Wznieśmy w niebo głos,
Ślieny Jezus da pociechy,
I osłodzi los.

Magdalena.

Mój Symonie! mój gołąbecku! wy macie
coś takiego co za dusę chwyta, kiej wezmiecie
tak mówić, to wnet cęka złość ominie, a jeno
zal serce ściska.

Szymon.

Wierzcie mi, ze chociaż was kocham jak
moje dzieci, nieradbym już mieć Tomka za męża
dla mojej wnucki; kiedystarego ma za nic, toby
mi zatrapił moje dzieciątecko.

Zosia (*wchodząc*).

O mój złoty dziadusiu, niechże wam też
Matka Boska da wszyćko dobre, za to ze tak
pięknie mówicie; radabym wam nóżeczki ucało-
wać (*całuje go w ręce*).

Szymon.

Cóz to! toś i ty mu nierada.

Zosia.

Juzci ze nie, bo ja się go okrutnie boję, jenom dla tego przystała ze wy go chcecie.

Szymon.

Nie było to jak mój krześniak Staś, to to było poczciwe chłopcysko, wiem zebyś go wołała jak Tomka, co?

Zosia (*ze wstydem*).

To się wie mój dziadusiu.

Paweł.

Mój Boże!... co się też tam dzieje z moim biednym Stachem? ani słyhu o nim.

Magdalena.

W Bogu nadzieja mój Pawle; ale my tu gadu, gadu, a tu cas do kościoła, jus chwila jak pierwszy raz przedzwonili na wotywę.

Paweł.

Siadajcie z nami, konie stoją przed domem.

Szymon.

Jedzcie z Bogiem, ja pójdę piechoto, czy to tak daleko na Piasek.

Magdalena.

Jużeście raz byli, to się bardzo schodzicie.

Szymon.

Cy mi to co dziwnego? od dwudziestu lat jak jestem starszym w bractwie skaplerznym; co niedziela chodzę dwa razy na dzień do kościoła piechoto; miałbym sobie za grzech jeździć, jesce mi stare nogi do służby Bożej wystarcą!

Magdalena.

A no stary! to i my chodźmy. Z Symonem toby się nie przyksyło i na kraj świata wędrować.

(wychodzą: najprzód Szymon z Zosią, za niemi Magdalena na ostatku Paweł).

SCENA DZIEWIĄTA.

Protazy *(sam wsuwa się, później Kuba).*

Wszyscy poszli do kościoła, widziałem to z za węgla. *(uderzając palcami w tabakierkę).* Ja przy mojem zatrudnieniu nie mam nawet tyle czasu, żeby iść na mszę świętą. Człowiek dla klientów musi duszę poświęcić. Co to za kłopoty całą wieś w zanadrzu nosić! *(wyciąga z zanadrza i ogromnej kieszeni pod połą przy-*

szytej, pliki różnych papierów, powiązane sznurkami, rozkłada je na stole, dobywa pióra i kałamarza z kieszeni) proces Łachety z Konikiem na drodze cywilno sądowej o wynagrodzenie za pobicie (*pisze*) Rekapitulacya pretenzyi; za *visum repertum* złp. 2. Za podwód sześć dla doktora po złp. 4, złp. 24. Doktorowi za sześć wizyt po złp. 8 czyni złp. 48. Cyrułikowi za zszywanie głowy złp. 9. Za stracenie czasu, szkody wynikłe z choroby i stracone korzyści złp. 24. Stawianie w sądzie, stęple, wyroki, kopie, wręczenia, *viales* złp. 133 gr. 24, exekucyi, zajęcia, licytacye, świadkowie, woźni złp. 163 gr. 7. *Summa sumarum* złp. 404 gr. 1. (*rzuca pióro i zaciera ręce*). Dla mnie połowa, dla Łachety połowa. Oto sobie balik wyprawię, najprzód rano parę kieliszeczków araku u Waltera, potem barszczyk z wędzonką i pieprzykiem za rogatką Zwierzyniecką, potem obiad na Syndykówce u pani Tyrkalskiej: flaczki, gęsina, wieprzowina, kiełbasa. Na wieczernę kiszka smarzona u Florcyka i parę buteleczek prezydenta; potem u Robackiego cholewka szewczyka jedna i druga, a na dobranoc do poduszeczki kwartę ponczyku w domu u siebie na gruncie sfabrykowanego! Spiję się jak be!... aż mi się ślinka robi.

*Spiew No. 6. (**

Coś w świecie miłszego do biesa,
Jak chłopom prowadzić procesa,
Wsunę się między nich gdyby lis,
Duszę grosze na stęple i na wpis.

Gdy nie masz gotówki co masz daj,
Kur, kurcząt, masełka, sera, jaj,
Tak zbywa mię czem chcesz za mój trud,
Bo jestem filantrop — wspieram lud.

Chłop chłopą przy wódce utnie w pysk,
Ja proces formuję, ciągnę zysk;
Durzę go rok, drugi — w końcu fik,
Chłop proces przegrywa, a ja myk.

A jeśli przypadkiem jaki chłop,
Przegrawszy procesik w kark mię hop;
Człek na takie żarty nie pyta,
Zażyje tabaczki (*zażywa*) i kwita.

Coś mnie praca djabelnie zeczczyła, a tu
nie ma czem się zakropić. Δ.... dalibóg zapo-
mniałem zupełnie, że w tej szafce są napoje
przygotowane na wesele, tylko że może *archi-
wum* zamknięte. (*otwiera*) Otwarte, wybornie,
co tu aktów weselnych, weźmy się do repro-
dukcyi *priorów*; ktoby tam czekał aż sprawę
przywołają z kolei, to jest aż sami zaczną czę-
stować. (*bierze i wacha*) Anyżówka! nie mogę

*) Melodya „Włazł kotek na płotek.“

pić, nie będą *impedimentum dirimens, ad acta.* (bierze drugą) *Doppelt-kimmel! ad acta.* (bierze trzecią) Obsygiłowana! trzeba zdjąć opieczętownie podług wszelkich formalności! (wacha) Arak! Otóż mam *punctum juris!* (ogląda się) Nie ma pić do kogo (*idzie do zwierciadła*) A więc do ciebie Protaziu.

Kuba (*wpada.*)

Niema tu Tomka?

Protazy (*przełknięiony, chowa szybko flaszkę.*)

A bodajże cię!... niema! niema! poszedł do kościoła; idź precz, nie przeszkadzaj mi, bo konkluzję piszę.

Kuba.

Powiedcież mu zem tu byi. (*wychodzi.*)

Protazy (*sam.*)

Niegodziwy wisus, przeszkodził mi przed samym wyrokowaniem, jak mój antagonistą Kalasanty, co mi zawsze robi *excepcyą in formali.* (*idzie do zwierciadła*) Do ciebie Protaziu.

— 31 —
SCENA DZIESIĄTA.

Protazy, Tomek i Kuba.

Kuba (*wpada.*)

Cóżeście bajali ze Tomek w kościele, kiej on sedł z karcmy?

Protazy (*chowając flaszkę w kieszeń*).

Byłem tak zajęty zgłębianiem kodexu, że nawet nie uważał coś do mnie gadał.

Tomek (*wchodzi.*)

Słuchajno Protazy, Kuba mi mówił, bo on tez prawo rozumie (*Protazy wzrusza ramionami*) zeby starego Symona zapozwać o dzisiejsze; ale mi ta o to nie tyła chodzi, jak o ojców, ze okrutnie przewodzą.

Protazy.

Ja cię potrafię usamowolnić.

Tomek.

Ale widzisz, bo jabym chciał na siebie gospodarować. Cyby to nie można wyprawować od ojców tej drugiej chałupy i gruntu, co go na Nowej Wsi mają, bo mi się już to przyksy.

— 38 —
Protazy.

Czekajno!... czekaj!... (dobywa tabakierki i bębni palcami) *Quo ad primum*, bagatela, *quo ad secundum*, twardy orzech. Chociażby podać do trybunału o uznanie rodziców za bezsamowolnych; ale cóż, kiedy nieszczęściem zdrowi są na ciele i umyśle, trzebaby mieć fałszywych świadków, (zażywa) trzeba robić relację biegłych, inkwizycję świadków, koszta ogromne, a rezultat nienajpewniejszy.

Tomek.

Co się ta pytas o kosta, sprzedałem wcoraj śkapy siwe, to mam dosyć grosa.

Protazy.

A potem urząd gromadzki mógłby zaprotestować, nie, tak nie można (namyśla się i zażywa) Czekajcie!... a gdyby też?... doskonale-przedziwnie! Dawno twego brata nie ma?

Tomek.

Stacha?

Protazy.

A przecież nie masz innego.

Tomek.

Juz bez mała pięć roków.

Protazy.

Bravissimo! (prędko mówi) Podamy o spadek po nieobecnym, i wprowadzenie ciebie w posiadanie. Na ojców przypadnie połowa, a na ciebie druga.

Tomek.

Jakże to?

Protazy.

Co się pytasz, byleś miał... Twój brat od 5 lat odjechał (*dobywa z kieszeni potarganą książkę i czyta:*)

Artykuł 115 kodexu cywilnego opiewa wyraźnie: „Gdy osoba przestanie być przytomną na miejscu, lub pobytu i przez lat cztery żadnej wiadomości o niej nie masz, strony interesowane będą się mogły udać do Trybunału 1ej Instancji aby nieprzytomność ogłoszoną była.“ Ale co tam, o tem potem tylko trzeba wprzód spa-
lić wszystkie listy od Stanisława, żeby żadnego nie było dowodu, że pisywał.

Tomek.

A jak oni będą zaprzeczali?

Protazy.

Poprosimy o *dilacyą* i wniesiemy *restitucję ad integrum*.

Kuba.

Mamrocecie i mamrocecie, a nic was zrozumieć nie można, przecież i ja się prawowałem bez półtora roku z nieboscykiem Marjancykiem, a nie słycałem takich słów, chociaż i ja znam prawo.

Protazy.

Co ty gawronie? ty znasz prawo? kiedyś taki mądry (*sadza go gwałtem*) siadaj!... (*daje mu papier i pióro*) pisz! (*chodzi z ferworem i dyktuje*) Działo się w Krakowie dnia 1 Stycznia 1855 (*do Kuby*) No i cóżeś tak oczy wytrzeszczył.

Kuba (*ciska pióro.*)

Ej! bo mi kazes pisać, a ja jeśli umiem pisać to jeno dla siebie, (*wstaje*) ale co żnom prawo to żnom!

Protazy.

No kiedy znasz prawo, powiedz mi co to jest skarga *incidentalna*?

Kuba (*śmieje się z zakłopotaniem.*)

He he he!..

Protazy.

A relacya biegłych? . . . a inkwizycya świadków? a wyrok a *quo?* a *inducta?* a *repliki?* a *merita?* Widzisz stoisz jak rura! . . . nie umiesz ani pisać, przegrałeś sprawę i musisz koszta zapłacić, to jest kupić araku z esencyą. (*do Tomka z niechcenia*) Słuchajno, a daj tam co na stęple.

Tomek.

Mas rynia, ale jak mię osukas, albo pieniądze przepijes, to cię dopiero ostępluję. (*wychodzą oba z Kubą*).

SCENA JEDENASTA.

Protazy (*sam.*)

Przeklęte chamy, a zaraz bić! . . . ciągle mi przeszkadzają w odmundowaniu tego *exhibitu* (*wyciąga flaszkę*). No weźmy się do reprodukcji priorów (*idzie do zwierciadła*) Do ciebie Prot. . . . a niechże cię kroćset! . . . znowu ktoś idzie, ale wiem co zrobię, wliżę do chlewika i tam za kontestuję *cum omnia formalitate* wewnątrzną wartość tego *elaboratu* (*chowa flaszkę i bocznymi drzwiami odchodzi*).

SCENA DWUNASTA.

Stanisław (*sam.*)

Otóż jestem znowu w naszym ubogim domku; wszystko tu jak dawniej, te same sprzęty. Mój Boże! lzy mi się cisną do oczu patrząc na te ściany wśród których wzrosłem. Tu przepędziłem dziecinne lata, tu mię matka uczyła pacierza i modliłem się przed temi samemi obrazami. Na tej grzędzie pierwszy raz spróbowałem pracy. Ta skromna izba, proste sprzęty, drogie wspomnienia: wszystko to silniej przemawia do mego serca, niż owe pyszne miasta, których do znudzenia napatrzyłem się za granicą. I ja miałbym to wszystko porzucić? porzucić na nowo i nigdy więcej nie oglądać? o nie, to nad moje siły!... Nie dla mnie ten wielki, obludny świat: ciasno na nim chłopskiemu dziecku. Tu mi tak błogo, tak rzewnie... o Boże mój Boże (*ociera łzę*).

SCENA TRZYNASTA.

Stanisław i Zosia.

Zosia.

Jakiś obcy!

— 43 —
Stanisław.

Boże! czy mi się zdaje? ach to ty Zosiu?

Zosia (z okrzykiem.)

Staś! (rzuca się na szyję).

Stanisław.

Zosiu!... moja dobra Zosiu, ty mnie po-
znałaś?

Zosia (wstydząc się.)

Cóżby nie?

Stanisław.

A matka, ojciec, Szymon, czy żyją?

Zosia.

Wszyscy zdrowi, pošli do kościoła. Wyjdźmy
przed nich, oni tak za tobą tęsknią.

Stanisław.

Chwilkę jeszcze... tak mi serce bije...
niech trochę odetchnę!... ale cóż znaczy ten
ubiór... czy tu macie jakie wesele?

Zosia.

Miało być... ale nie turbuj się Stasiu, już
nie będzie, to ja miałam iść za Tomka.

— 44 —

Stanisław (*smutno.*)

Ty Zosiu?... więc zapomnieliście o mnie.

Zosia.

Gdziebyśwa tam zapomnieli? aleśwa myśleli żeś ty o nas zabaczył; dziadus starzy nie mogą juz w gruncie robić, a tu jest piękny kawałek ziemi, skodaby go sterać. Kajbyś ty Stasiu sadył, abo plewił; tyś taki delikatny, mas ręcki białe kieby paniątecko; tobie jeno książka do ręki, ale nie kopacka. Otóż dziadusiowi trza było wyręczenia... no i tak uradzili z Pawłami, a chociaż nie miałam chęci... ale dla dziadusia trza było zrobić co chcieli.

Stanisław.

Moja Zosiu!... czy ja się to nie znam z naszą czarną ziemią, czym to nie zwyczajny pracy?... i wyście myśleli żeś zdumiał, żeś o was zapomniał, o!... to źle! to bardzo źle!

Zosia.

Aleś ty skończył tyle szkół, a chciałoby ci się to do zagonu chwycić.

Stanisław.

A nas poczciwy Zbroja inaczej zrobił?...

przecież i on skończył szkoły, a teraz robi w gruncie jak drudzy i sam furmani.

Zosia.

Oj ty Stasiu! ty dobry poczciwy Stasiu! radaćbym cię uścisnęła ze tak ładnie mówis. Zacekaj tutaj, ugrzej się trocha, a ja wybiegnę przed ojców i powiem im żeś jus w domu kochany Stasiecku.

Stanisław.

Nie, nie Zosieńku!... nic im nie mów, ja im się chcę niespodzianie ukazać.

Zosia.

No, niechże tak będzie kiej chces, ale musę przeciw nim wybiegnąć, bom okrutnie niecierpliwa, zeby rychło przyśli (*wybiega.*)

SCENA CZTERNASTA.

Stanisław potem Hrabia.

Stanisław.

Jakie to poczciwe!... jakie to dobre!... za chwilę wszystkich zobaczę, mało mi serce nie rozerwie piersi. Och! dawno już nie byłem tak szczęśliwy jak dzisiaj.

Hrabia (*wchodząc.*)

Ledwie trafiłem do waszego domu.

Stanisław.

Pan hrabia raczył przyjechać za mną, przyjść do tej ubogiej chaty?

Hrabia.

Stęskniłem się za tobą Stanisławie; wiesz że cię przenoszę nad wszystkich, którym dobrze czynilem; ty tylko jeden okazałeś bezinteresowne przywiązanie i sercem mi odplaciłeś za to, że upodobawszy twoją pilność wziąłem cię do mego domu i kazałem uczyć zarówno z moim synem Adasiem. On umarł... (*ociera łzę*) ty więc Stanisławie zostaniesz przy starcu i będziesz pielęgnował jego dni ostatnie. Sprzykrzyłem sobie pobyt w kraju... tyle nieszczęść mię tu spotkało, tyle niewdzięczności doznałem, chciałbym już dziś wyjechać i udać się do Włoch, tam będę mieszkał do śmierci... dla tego spiesz się, witaj i żegnaj swych rodziców, bo musimy zaraz odjechać.

Stanisław (*smutnie.*)

Odjechać!

Hrabia.

Wiem, że ci to przykro, ale cóżbyś robił pomiędzy ludźmi o tyle niżej wykształconymi od ciebie; umysł twój odbiegł zdala od ich pojęć... jakżebyś potrafił żyć pośród przesądnego i prostego ludu?

Stanisław.

Panie hrabio!... wprzód niż mię kazaleś uczyć, byłem wieśniakiem; ich myśli, pojęcia, cierpienia, wyssałem z mlekiem, na widok tych czarnych pól, zapomniałem o wszystkim co widziałem po oddaleniu się z ojcowskiej chaty nie mam siły ztąd się oddalić.

Hrabia.

Nie chcesz więc jechać ze mną? czy i ty mnie odstępujesz.

Stanisław.

O panie!... do śmierci pragnę ci służyć... ale tu, tu! daruj chłopskiemu dziecięciu, że nie umie cenić łask twoich i śmie nad nie przenosić ubogą chatę ojców, w której się urodziło.

Hrabia.

Dobrze!... więc pozostanę sam na świecie. Bądź zdrów Stanisławie.

Stanisław.

O nie panie hrabio! ja cię nie opuszczę! byłbym niewdzięcznym, jadę, jadę! (*słychać za sceną krakowiaka*). O Boże! Boże! jedźmy panie hrabio... ale zaraz... nie chcę widzieć nikogo... straciłbym do reszty odwagę... Ten krakowiak serce mi rozrywa!

Hrabia.

Biedny chłopcze! byłbym okrutnym wymagając od ciebie takiej ofiary; teraz musimy jechać, ale co rok będziesz odwiedzał twoich rodziców, trzeba im dopomódz, lecz jak to zrobić? Wiesz, że spieniężyłem mój majątek, a chcąc ukryć pobyt nie wziąłem weksli na swoje imię, lecz na okaziciela i mam je przy sobie w tym pugilaresie. (*uderza się po kieszeni bocznej, do siebie*). O mój Boże! co to jest... mój pugilares!... (*szuka*). Czyliżbym go zostawił w hotelu?... (*szuka*). Ale nie... miałem go w powozie. O mój Boże! cały mój majątek!

Stanisław.

Co ci jest? panie hrabio!

Hrabia (*j. w.*)

Nic! nic wcale!... zaczekaj chwilę, natychmiast wrócę! (*wychodzi*).

Stanisław.

Co mu się stało? taki zmięszany?... (*stychać gwar, patrzy w okno*). Co widzę?... to oni!... moi ojcowie! i stary Szymon (*kryje się za drzwiami bocznymi na lewo*).

SCENA PIĘTNASTA.

Szymon, Magdalena, Zosia, Paweł, Kasia, Kuba, Družbowie, Druchny — potem Stanisław.

Magdalena.

Otóż za łaską Boską jesteśma w domu, ale tez to mróz ognisty.

Szymon.

A co to się wam stało Pawłowa w kościele? wyście płakali.

Magdalena.

A no cóż? jak wziął Wikary prawić o tym synu marnotrawnym, jak wziął wywódzić, jak to go ojciec witał, to mi Staś przed oczami stanął i tak mi się serce ścisło, że kieby Bartkowa kroplami mie nie otrzeźwiła, tobym moze i zemgłała.

Kuba **Paweł.**

Jus wy niewiasty to ino w te kropliska wierzycie, jak której co zacmerze na wnętrzu, toby

zaraz ostatni grosz wydał na doktorki, na japtękarzy i na kubecki.

Magdalena.

Cóz ty, cy mi to nie wolno poratować zdrowia, kiej się cłek oberwie? cy ja to nie pracuję na to? co mię to nie stać? widzicie starego, mozebyś mi zabronił?...

Spiew No. 7.

Cym ja to niegodna, cy ja to marnuję,
Ze kubek wypiję, kiej na to pracuję?
Kiej dobrze na placu sprzedam ogórecki,
Któz mi broni z kumą wypić gorzałęcki.

Kubecek gorzałki, albo śklanę kawy,
Cłek jak się pokrzepi, to zdrowszy i żwawy,
Rzeknie jedna drugiej, napijwa się obie,
Bo nam ta nie dadzą gorzałęcki w grobie.

(inna melodia.)

Wszakże i panowie co pałace mają,
Chodzą do cukierni i likier spijają.
Niech im służy likier i smacne ciastecka,
Nam babom gęsina, z kroplami wódecka.

Szymon.

Rozochociliście się Pawłowa i zapomnieliście do krzty o kazaniu.

(Stanisław staje we drzwiach.)

Magdalena.

Kajby ja też zapomniała, kiej mi biedny

Staś ciągle przed oczami stoi. Dobry Boże! wróć
że mi też mojego chłopaka, a ochwiaruję się do
Częstochowy iść boszo o zebrany chleb, po-
dziękować Najświętszej Paniencie.

Zosia.

Pamiętajciez o tem dobrze pani matko, bo
i ja pójdę z wami na podziękowanie.

Szymon.

I ja zwlekę moje stare kości, a pójdę z
wami do cudownego miejsca; ale miejcie w
Bogu nadzieję, on was wysłucha.

Stanisław (*rzuca się do nóg*).

Ojczy! matko!

Wszyscy.

Stach!

Magdalena (*chwyta go w objęcia*).

Stasiu!... o dla Boga! Stasiu!... moje
dziecko!... mój synecku! o święty Boże! o cu-
downy Jezu!... Stasiu! (*płacze*).

Stanisław (*ściska ją*).

Matko! ~~Ojczy!~~... Szymonie! tyle lat was
niewidziałem.

Szymon.

Moje dziecie, mój krześniaczku!

Zosia.

Ja jeno jedna wiedziała, że Staś wrócił...
alem wam nic nie mówiła, żebyście się bardziej
radowali.

Magdalena.

Oj... ty... ty, nic dobrego!... a cy się
to godzi ojcom tak dokucać? Przecieśwa się raz
docekalili kochanego Stasicka, toć się teraz na-
ciesema do woli.

Stanisław.

Moi ojcowie!... niedługa nasza uciecha!...
dziś jeszcze odjechać muszę. Pan hrabia sprzy-
krzył sobie pobyt w naszym kraju, gdzie mu
syn umarł, więc jedzie za granicę i mnie z sobą
zabiera.

Zosia.

I odjechałbyś nas?

Magdalena.

Rzuciłbyś ojców na stare lata?

Stanisław.

Będę was co rok odwiedzał.

Szymon.

Tak... a któż wie cy ja roku dożyję...
tobyś ty nawet staremu powiek nie zawarł?

Stanisław.

Bóg widzi, że mi serce ledwie nie pęknie od żalu, ale mój dobroczyńca biedny, sam jeden na Bożym świecie...! mogeż go opuścić?

Paweł.

A nas chcesz opuścić?... własnych ojców?

Magdalena.

Cy on nie może tu ostać, a dyć i w Krakowie można tak dobrze się smucić jako i za granicą: a zresztą niech się ta smuci... ale po cóż nam zabiera nasego Stasia, o nie! mój robacku! ja cię nie puszcę mój robacku!

Stanisław.

Moja serdeczna matusiu! Mój ojciec! Szymonie, Zosiu! Czyż ja miałbym serce was opuszczać, gdybym nie musiał. Was tu kilkoro, to się wzajem pocieszycie, a ten biedny starzec sam jeden w świecie, bez rodziny, bez pociechy; miałbym sumienie zostawić w samotności tego, który mi był prawie drugim ojcem i ma mnie tylko jednego?

Szymon.

Moi ludzie!... to darmo;... ja sam widzę, że Staś nie może odejść swojego dobrodzieja,

nie brońcie mu, Bóg widzi że mi się strasznie serce ściska, ale znać taka wola Boska.

Zosia.

Oj dziadusi, dziadusi! pani matko nie pu-
szajcie Stasia (*płacze*).

SCENA SZESNASTA.

Dawni i Hrabia.

Magdalena.

Wiecie co?... nie ma innej rady, pójdźwa
uścisnąć nogi panu hrabiemu i prośmy, żeby
nam Stasia ostawił.

Hrabia (*wchodzi, blady, wzruszony.*)

Dobrzy ludzie!

Wszyscy.

Wielmożny hrabia!

Magdalena (*całuje go w rękę.*)

O mój Boże! jaki tys to wielmożny pan
łaskaw przychodzić do takiej byle jakiej chałupy!
(*stawia mu stółek, ściera fartuchem*). Niechno
jasny pan siądzie (*hrabia siada.*) Wielmożny
panie, (*kłania się*) my się tu strasznie turbujema
dla tego... że to niby Staś ma odjechać.

Hrabia.

Nie smućcie się, ja wam syna nie zabiorę, moje zamiary zmieniły się; sam jechać nie mogę, zgubiłem pugilares zawierający cały mój majątek, wszystkie poszukiwania były daremne... cóżby wasz syn teraz robił przy mnie!...

Magdalena.

O mój Boże!

Szymon.

Trzeba dać na mszę świętą do św. Jantoniego, do Reformatów, to się z pewnością zguba wynajdzie.

Stanisław.

O mój dobroczyńco! teraz cię tembardziej nie opuszczę, przyjm mię za sługę... będę pracował dla ciebie do śmierci.

Hrabia.

Dobry Stasiu! ja jadę szukać przytułku do krewnych, tamby może ciebie nie przyjęto.

Magdalena.

Aha!... do krewnych! wiem ja co to znacą krewni! mozeby jaśnie pana gdzie wrażli na folwark, albo odsyłali jeden do drugiego, jak dziada z torbami. Nic z tego..., wielmożny pan chował bez tyła lat nase dziecko, to też teraz

pan hrabia musi przy nas ostać. O pieniądze nie ma się co turbować, cłek ta tej mamony nie zabierze do grobu. Abo to Jaśnie Pan zjedzą więcej, albo dłużej żyć będą choćby mieli beckę talarów.

Szymon.

Ja mam domek schludny, czysty, wybielony jak słonecko, i ogródek i sad, to go wielmożnemu hrabi odstąpię, a ze z łaski Boga uskładało się kilkanaście tysięcy, to i na wygrodzie nie zabraknie.

Magdalena.

Będziemy jaśnie panu we wsyćkim dogadzać; najpierwsze karafiołki, sparazki, grosek, sałatka i rzodkiewka z mego ogródka, będzie dla wielmożnego pana.

Zosia.

A ja codzień bielusienką kukuleckę upiekę i zbiorę najlepiej śmietanecki do kawusi.

Kasia.

Ja mam seścioro kurcątek, to je na początek Jaśnie Panu ochwiaruję.

Paweł.

A jak się wielmożna osoba przejechać zechce, to jest nowy wózek i sterykuniki. Będzie mo-

zna co niedzielę na Wołą, a choćby i do Krzesowic.

Kuba.

Cała gromada złoży się na tak uczciwego pana, a ja na początek będę Wielmożnemu za darmo usługował.

Hrabia.

Dobrze, zacni, poczciwi ludzie!... dziękuję wam za wasze ofiary, ale ich przyjąć nie mogę.

Magdalena.

Ba! ktoby się tam pytał o to Wielmożnego pana. Nas tu więcej to musi stanąć na nasem.

SCENA SIEDEMNASTA.

Dawni, Protazy, Tomek, Kuba, Druźbowie i Druchny
(*wchodzą w środek.*)

Protazy.

W imieniu prawa uciszcie się! (*rozkłada arkusz papieru i czyta.*) „Wszem, w obec każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy wiadomo czynię, iż, ponieważ Stanisław Brózda zszedł bezpotomnie z tego świata“...

Stanisław.

Jakto?... ja umarłem?

Protazy (*staje przed nim*).

A bodajże cię kroćset!... (*chowa papiery na stronie*). Czy cię tu djabli do nas przynieśli!

Tomek.

Jakto?... Co?... O rany!... Stachu! (*wita go ściskając i całując po twarzy, po piersiach i ramionach*). Stachu! mój bracie!...

Stanisław.

Tomku! (*ściskają się kilkakrotnie*).

Protazy.

Otóż i sprawa spadła z kadencyi!... jakże go udawać za umarłego kiedy żyje?

Tomek (*do matki*).

Cóż to za pan co hań stoi?

Magdalena (*cicho do Tomka*).

Widzis... to ten hrabia co Stacha wyhedukował... ale strasznie sturbowany, bo se bieda zgubiła pulores ze wsyćkiemi pieniędzmi.

Tomek (*schyla się do nóg hrabiemu*).

Wielmożny panie! a jakis to pulores, co go jegomość zgubili?

Hrabia (*zrywa się*).

Pugilares wielki, napelñiony papierami.

Tomek (*wyjmuje z zanadrza pugilares.*)
Panie pon... a cy tyzto nie ten?

Hrabia (*zrywa się*).
O Boże! mój pugilares!

Protazy (*zgorszony.*)
O *asinus asinorum!* oddaje... a czemuż
ja go nie znalazłem!... byłby już nie oglądał
Bożego świata.

Tomek.

Znalazłem go w śniegu przed sienią, ale ja
nie jestem złodziej, zebym się cudzą pracą bo-
gacił.

Kuba.

Sprawiedliwie!

Hrabia (*daje mu pieniądze*).

Zacny chłopcze, weź to, za twój uczciwy
postępek.

Tomek.

Ej, za cóz mię to wielmozny hrabia despe-
tuje?... ochwiaruj to wielmozny pan na kościół,
na dziadów, albo na ochronę... ja niechcę za-
płaty za to com powinien zrobić (*odwraca się*).
Panie ojce! pani matko! wybaccie mi, bo ja
mam dobrą myśl, jeno mię ten zdrajca Protaz
do wsyckiego złego podmawiał.

Magdalena (*do Protazego*).

O ty zbereźniku!

Tomek.

Chciał sprocesować Ojca i jesce na stęple wykpił odemnie rynia, oddaj zaraz!

Protazy.

Głupiś, nie widzisz zem ostęplował podanie o ogłoszenie nieprzytomności...

Tomek.

Ja cię tu wnet ostępluję wydrwigrosu!...

Kuba.

Ja go tu wnet wezmę na śledztwo. (*do družbów*) Pójdźcie no haw chłopcy, trzeba mu rzejzryć kieszenie (*wyciąga mu flaszkę z kieszeni z arakiem*). Widzicie wy Symonie, harak! cośmy go z miasta przynieśli (*śmieje się*). A widzisz ze znam prawo... złodzieju!

Magdalena.

Wyzeńcie go prec tego zjadaca!

Tomek (*wyrywa mu papier z pod pachy i drze*).

Nie potrzebujemy tu zadnego prawowania.

Protazy (*krzyczy*).

Moje papiery!... moje akta!... gwałt publiczny zaburzenie spokojności! paragraf 66!

Kuba (*wyrywa mu z drugiej kieszeni*).

Juz nie będziesz stajał po sądach.

Protazy.

Gwałtu!... napaść osoby!... obelgi! violencye!... paragraf 68 protestuję!

Tomek.

Rusajze procesowniku!

Protazy (*wraca się.*)

Wszystkich zaskarżę i zapakuję do kryminału.

Tomek (*daje mu w kark.*)

Naści!... kiej ci mało (*wyrzucają go*).

Kuba (*stoi na przodzie ostatni z lewej sceny*).

Oskubaliśmy go jak zdechłą kackę.

(*Układa z zamitowaniem papiery i przegląda ze wszystkich stron*).

Tomek (*wchodzi między Zosię i Stacha*).

No... Zosiu!... cóz z nami będzie?... ty jakoś rzetelnie pogładas na Stacha i on patrzy na cię niebrzycko, naści! na! ten pierścionek cd zrękowin (*Daje Zosi pierścionek*). Daj go Stachowi on go rad weźmie.

Stanisław.

Tomku!

Zosia.

Tomku!

Zosia (*do Stanisława*).

Tylko że ty Stasiu masz takie piękne suknie, jabym ci nierada wstydu robić... jakżebyś ty sedł do ślubu z prostą ogrodniczką w gorsecie i chustce na głowie.

Stanisław (*zrzuca paletko i bierze sukmanę wiszącą na ścianie*).

Otóż jestem duszą i ciałem Łobzowianinem, aż mi lżej teraz żem w swojej skórze. A jutro spróbuję czym nie zapomniał pracować na zagonie.

Magdalena (*całuje w głowę Tomka*).

Cie! ktoby się spodziewał, że Stasek ma takie pocziwe myśli. Niechże cię Bóg błogosławi synecku, że choć chodz łeś do jakademii i srebnemi łyzkami jadł, nie wstydzis się ani swoich, ani chłopskiej roboty. (*Do Stacha i Zosi*) A teraz... dzieci! kiedy taka wola Boga, niechże wam błogosławi.

Stanisław (*klęka przed hrabią i Zosia*).

Panie hrabio: może nam także pobłogosławisz?

Hrabia.

Zachowajcie na zawsze wasze uczucia i cnoty, a Bóg nie opuści ani was, ani waszych

dzieci. Wyście mię zachęcali do pozostania w kraju, gdzie tacy ludzie żyją. Wypraszam sobie że będę panną młodą od ołtarza prowadził.

Szymon.

Bywaj wielmożny pan częściej pomiędzy nami, a znajdziesz więcej ucciwego serca i prawdziwą scerość, anizeli po bogatych domach, gdzie często jeno i przyjaźń i pobożność udają, a bokiem dusę ciągną.

Tomek (*do muzyki*).

No... dalejze dudy, utnijcie nasego krakowiacka od ucha! kiej nie jestem panem młodym, niechże zostanę pierwszym druzbą.

Śpiew Nr. 8 i ostatni.

Tomek.

Widzis parobecku, na co ci to wysło,
Pogniewałeś ojców i wesele prysło.
Lec choć tracę Zosię, to moja zapłata.
Zem tem poświęceniem uszczęśliwił brata.

Hrabia.

Znękany cierpieniem, przeciwnością, wiekiem,
Chciałem was porzucić, żyć w kraju dalekiem,
Lecz mnie Łobzowianie z światem pogodzili,
O gdyby takimi, jak wy, wszyscy byli.

Stanisław.

Miło to jest wprawdzie zwiedzać cudze strony,
Widzieć cuda sztuki, zbierać nauki plony;
Jednak kto raz pługiem tknął swój zagon miły,
By go miał porzucić, zabraknie mu siły.

Zosia.

Słyszałam od ludzi co mieli kochanki,
Ze najmilse dziewczki nase krakowianki!
Pocóż za cudzemi ma gonić myśl płocha,
Niech każdy krakowiak krakowiankę kocha.

Magdalena.

Słynie Kraków ślicny, świątyn w nim bez liku!...
I lud w nim wesoly, jak ptasek w gaiku.
A choć mu źle czasem, choć przygniecie bieda
Wytnie krakowiaka i biedzie się nie da.

Szymon.

Nie mało lat cięży na tej siwej głowie,
Prawdą Symon zyje, więc wam prawdę powie:
Póki cnota w sercu, a uczciwość w czynie,
Póty chociaż w biedzie człowiek nie zaginie.

Protazy (*wsuwa się bokiem nieśmiało*).

Klienci mię zbili, lecz ja oponuję!
Nie dam się wypędzić, aż wam zarymuję.
Bywajcie w teatrze, gdy w nim Łobzowanie,
Bo jak kto nie przyjdzie, to pozew dostanie.

(*Zastona spada.*)

Błazek Opetany,

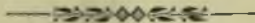
KROTOCHWILA

— W —

JEDNYM AKCIE ZE ŚPIEWAMI.

— Przez —

WŁADYSŁAWA L. ANCZYCA.



CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA

1891.

O S O B Y :

Czesław Orlewicz, właściciel wsi.

Anastazy z Orlewiczów Śnieżkowa.

Klementyna, jej córka.

Celestyn Słomkiewicz, ich kuzyn.

Marcin, sołtys.

Salusia, jego córka.

Błażek }
Walek } parobcy dworsey.

(Rzecz dzieje się we wsi Czesława, w Proszowskiem).

Pierwsze przedstawienie w Krakowie 1 Stycznia, 1856.

Teatr przedstawia salonik w wiejskim dworze. Na prawo stół na którym leżą książki i papiery. Przy stole fotel skórą wybity. Na lewo balzak, po nad którym wisi mały zbiorek broni, w kącie na prawo fajczarnia, przybory myśliwskie, itd. Całe umeblowanie okazuje że to jest mieszkanie kawalerskie.

SCENA PIERWSZA.

Błażek, Czesław i Walek,

(Za podniesieniem zastony Błażek śpi na balzaku w eleganckim szlafroku; na głowie ranna haftowana czapeczka, pantofle. Czesław w chłopskim ubraniu siedzi w fotelu i czyta dziennik. Walek stoi nad śpiącym Błażkiem i śmieje się nieustannie.)

Walek *(śmieje się.)*

Chi, chi, chi.

Czesław.

Czy znowu?... zapowiedziałem ci raz, abyś się nie śmiał! Swoim śmiechem popsujesz mi

całą zabawę. (*Walek parska śmiechem.*) Cicho!

Walek.

Ale bo niechże też wielmożny pan pojrzą na Błazka! Jak on też śmiesnie wygląda w tem obleceniu. Kaj też to takiemu rysiówi włożyć w pańską przyodzież, i legać na kanapie jakoby sam wielmożny pan... Już się strzymuję i strzymuję, ale mi tak okrutnie śmiać się chce ze się o mało nie udusę. Chi, chi, chi!

Czesław.

Jeżeli nie przestaniesz się śmiać to cię za drzwi wyrzucę i nie będziesz widział jak się Błazek obudzi.

Walek (*powstrzymując się.*)

No kiej jus taka wola Wielmożnego Pana, to będę cichutko siedział jak kuropatwa w owsie... okrutniem ciekaw co on też powie jak się ocknie.

Czesław (*wstając.*)

A pamiętasz co ci powiedziałem.

Walek (*potwierdzając.*)

No...

Czesław.

Jakże więc będziesz mówił do Błażka?

Walek.

A no juści wielmożny Błażku,

Czesław.

Mówiłem ci niezdaro, że masz mówić, tak jak do mnie mówiłeś: „wielmożny panie“. Rozumiesz?

Walek.

No! kajzebym nierozumiał.

Czesław.

A jakże będziesz do mnie mówił?

Walek.

Chi, chi, chi, chi.

Czesław.

I czemuż znowu się śmiejesz?

Walek.

Jakzebym ja też śmiał wielmożnemu panu mówić ty? a toćby mię pan wyprał?

Czesław.

Niezawodnie, jeżeli mi nie będziesz mówił ty!

Walek.

Ha no to już będę się przemagał. Ale proszę też pana, mnie się nijako nie może ponieść we łbie, żeby on mizerny Błazek miał stać naszym panem, a wielmożny pan żeby przystawał za parobka do niego. Przecież zawsze co pan to pan, co parobek, to parobek, a...

Czesław.

A co duda, to duda.

Walek.

Ha no, prawda, ale jak się to mogło stać że on będzie dziedzicem?

Czesław.

Słuchajno Walek, czy ty wierzysz w to, że djabeł może skusić człowieka?

Walek.

Jakzebym nie miał wierzyć.

Czesław.

Słyszalesz jak Błażek zawsze przeklinał i wyrzekał że musi za parobka służyć, jak zawsze miał ochotę zostać bogatym panem i nie robić?...

Walek.

Ba, jakzebym nie słyszał, dyć dopiero wczoraj upił się na chrzcinach i jakeśmy do domu wracali, to prawili że z ochotą przepisałby dusę bezpieczeńemu, kieby go jeno panem zrobił.

Czesław.

Ha, może też djabeł podsłuchał Błażka i przemienił go w dziedzica, a mnie w parobka.

Walek (*kiwając głową.*)

Ha no juścić tak będzie, a nie inacej, ale przez cozby wielmoznego pana zrobił parobkiem, skoro pan dziedzic nie przeklinali.

Czesław.

Któżto może wiedzieć. Ot zwyczajnie bies psoci rozmaicie ludziom. (*Błażek się porusza.*) Pst! pan rusza się, wnet się przebudzi. Ja biegnę do kuchni po śniadanie, a ty się tu nie

śmiej, bo djabeł gotówby cię przemienić w starą babę.

Walek (*przestraszony.*)

O rety!

Czesław.

* A jak się pan dziedzic przebudzą to mię zaraz zawołaj. (*odchodzi.*)

SCENA DRUGA.

Błazek i Walek.

Walek.

Jaze mię ciarki przesły jak mi pan, nie, jak mi Błazek... zastrasył ze mię carny przemieni w babę... oj! oj! toby było nieszczęście. Juz wolałbym zeby mi odrazu łeb urwał. Tylko mi się w to wierzyć niechce: bo kiedy naprawdę djabeł zrobił Błazka dziedzicem, toby od niego było cuć smołę (*wącha Błazka*). A tu ani krzty, ślafrok pachnie dziedzicem, a łeb śkapami. Mnie się widzi ze to ino psota dziedzica, bo on

jest okrutny zbereźnik; co się to nieraz nie nabroi z innymi sąsiadami, jakie im płata historye. Ale jedno co mi się niemoze pomieścić w głowie, to ano skąd dziedzicowi przysła taka ochota, zeby Błazkowi wieś darować, a samemu do niego przystać za fornala. Co sobie wprzódy legał w pokoju na łóżecku, to teraz musi spać w stajni przy koniach. Co wprzódy jadał przeróżne frykasy, to teraz będzie zur zawijać. Co przódy laził od rana do nocy i swarzył na ludzi, abo jeździł po ograniczonych panach z wizytacją, to teraz będzie konie czycił i gnój wyrzucał: a Błazek? ten ci będzie wydziwiał, a moze kiej jak mu co na nos padnie, to i dziedzica wyłomoce po karku. (*Patrzy na Błazka*). Jak się to ten gawron rozwala na tem kanapsku, kieby jaki graf. Kieby to na mnie padło ostać dziedzicem, tobym wiedział co robić: juzby mi tam zaden fornal i garstecki owsa nie ukradł, ani chłop snopecka z pola, bobym juz wiedział wszystkie ich stuki i prześpiegi. Zajadałbym sobie codzień kielbasy, wieprzowinę i spijał likier. Ha no kiej juz na to przysło ze Błazek wysedł na ciaracha, to i ja na tem pozyskam, bo juz jemu waz do sołtysowej Salki. On sobie pojmie jaką hrabiankę, a mnie się dostanie Salka. Jak jego nie stanie, to mnie musi kochać, a jak

nie zechce to ją będę dopóty pral jaze mię polubi ogniście. Nie chcieli mi ją wprzody dać, bo mieli Błazka nastrojonego, ale mi ją teraz dać musą.

Spiew No. 1.

Jaworowe kołka,

Olsowa ozworka,

Trzebaby ją okować, okować.

Spodobala mi się

Sołtysowa córka,

· Ale mi jej nie chcą dać, nie chcą dać.

Straciłem se złoty

Na pierwse zaloty,

I tak mi jej nie chcą dać, nie chcą dać.

Straciłem se talar

Ledwim nie osalał,

I tak mi jej nie chcą dać. nie chcą dać.

Straciłem se dukat.

Com go ojcu ukradł,

I tak mi jej nie chcą dać, nie chcą dać.

Straciłem dość grosa,

Wsyćko na marnosa,

I tak mi jej nie chcą dać, nie chcą dać.

Błazek się zalecał

Ojciec ją obiecał,

Obiecała sama mać, sama mać.

Teraz Błazek panem

Wzgardzi chłopskim stanem,

Teraz mi ją musą dać, musą dać.

Błażek (*przebudzony pieśnią powtarza w rozespaniu.*)

Teraz mi ją muszą dać! muszą dać. Coby mi jej nie dali (*przeciąga się.*) Oj jakem se też zasnął, już słonecko wysoko, a tu skapy jeszcze nie ocyscone, bodajże to bisi wzięli taką robotę (*przewraca się i spada z kanapy.*) O rety, a kajze ja to jestem: (*Ogląda się po salonie.*) Cóż ja tu robię w pańskim pokoju? (*Spogląda po sobie.*) A to znowu co? pańska hadera na mnie. Kiejs to grzysi? co się to porobiło?

Walek (*tłumi śmiech, potem nie mogąc się powstrzymać gwałtownie wybucha.*)

Cha, cha, cha! cha! cha!

Błażek.

Cegoz ty się śmiejes Walku?

Walek (*zatykając sobie usta.*)

Oj tak też... ta proszę wielmożnego... chi, chi, chi.

Błażek (*zrywa się z ziemi.*)

Walku! bój się Boga coś ty zrobił, pocios mnie ty ublokł w pańską przyodziewę?

Walek.

Albo to ja?

Błazek.

No przecież ja się bez sen nie przewdziałem. Któżby takie zbytki robił jeśli nie ty.

Walek.

Ja tak słytał ze to djabeł ustroił tak wielmoznego za pana.

Błazek.

Ejze ty poganinie nie przekpiwaj, a lepiej powiedz kaj wraziłeś moją sukmanę, bo jak pan nadejdzie, a mnie ujrzy w swoich smatach, to mię jesce wypierze.

Walek.

Jaką znowu sukmanę. Jescem nie widział zeby panowie wsiowi w sukmanach chodzili (*wola.*) Błazku! Błazku! pan dziedzic się przeknęli! Pójdze haw!

Błazek.

Cegóz ty na mnie wrzescys, kiej ja tu jestem?

Walek.

Ja wołam na tamtego Błażka co ostał parobkiem, a nie na wielmożnego parobka co jest naszym panem.

SCENA TRZECIA.

Błażek, Walek i Czesław.

Czesław (*wnosząc kawę na tacy.*)

Przynosę wielmożnemu panu gorącą kawusię.

Błażek (*wytrzeszcza oczy na Czesława.*)

O najświętsza Matko? a to co? Wielmożny pan dziedzic w mojej sukmanie?

Czesław (*naśladuje mowę Błażka.*)

Z przeproszeniem i przez urazy honoru wielmożnego pana ta sukmana jest najprzód Boska, a potem moją, bom ją przecież sobie kupił w Prośowicach na jarmarku, we środę po świętym Marcynie.

Błażek.

Abo to prawda? dyć ja sam ją kupilem, jeno mi wielmożny pan dali pieniędzy jakeśmy zyto sprzedali.

Walek (*śmiejąc się.*)

Chi, chi, chi.

Czesław (*przechodząc w środek, do Waleka cicho.*)

Przestańże! bo cię za drzwi wyrzucę! (*stawia kawę na stoliku i prawie przemocą sadza Błażka.*) Niechże wielmożny pan rażno śniadają, bo jus awo wystygło.

Błażek (*zrywa się.*)

Z jakiejże racyi ja miałbym pić kawę, kiedy mi się patrzy zur ze ziemniakami.

Czesław.

Dyć jaśnie pan w dzień piją kawę, zkądze dziś taka ochota do zuru (*sadza go.*) Niech wielmożny pan siada i prędzej, boby mię Maciejowa zeswarzyła zem kawę wystudził.

Błażek (*klaniając się do kolan Czesławowi.*)

Doprasam się wielmożnego pana, zeby juz zrobił koniec wyśmiewisku. Cy ja nie służę

wiernie i ucciwie. Przecież ja ani nie śpię, ani nie jestem pijany. Ej gdybyć to była łaska wielmoznego pana żeby temu zaradzić; boć przecie ja muszę wiedzieć dokumentnie zem nie jest nijaki pan, jeno Błazek fornal.

Czesław.

Wielmozny pan widno się uwziął dzisiaj na nas biednych parobków żeby z nas wyśmiewisko robić. A dyć caluteńka wieś wyświadczy jako ja jestem Błazek, fornal dworski, a nie zaden wielmozny.

Błazek.

A cóz ja jestem do biesa?

Czesław.

Juścić nie kto inny jeno wielmozny Czesław Orlewic, nas dziedzic i tyła.

Błazek.

Tfu! Cy mię Boginki odmieniły? Ale ja się wnet przeświadcę. Jezeli wielmozny pan jest Błazek, to coz ja wcoraj robił?

Czesław.

Ha no, wielmozny pan byli wcoraj w Grusowie, u pani Lubrańskiej.

Błażek.

Ale ja się nie pytam o wielmoznego, tylko o Błażka co on robił?

Czesław.

A no byłem na chrzcinach u Michała karbownika i trochę sobie z przeproszeniem za dużo lyknął tej pary i posedłem spać do stajni.

Walek (*śmiejąc się.*)

Chi, chi, chi.

Czesław (*do niego groźnie.*)

Czy jeszcze?

Walek.

A kiej już jak Pana Jezusa kocham, ani sposobu strzymać się od śmiechu, dyć on wygląda jak małupa.

Błażek.

Przysięgam na Boga ze mnie się błąd chyta. (*po chwili*) I cóż ja tam robiłem na tych chrzcinach?

Czesław.

A nic bo przecież wielmożny pan tam nie byli.

Błażek.

Ale co Błażek robił.

Czesław (*drapiąc się w głowę.*)

Kiej też nie mam śmiałości gadać takich zbytków... ale to wsycko bez tę gorzałkę. Otóż siedzieliśmy z Maćkiem wojtowym i z Wickiem od księdza probosca i ano (*kłania się ponownie Błażkowi*) opisy się, wydziwiałem na panów, że bez calusienki dzień nic nie robią, jeno jedzą, piją i cygary kużą. Ze ja wołałbym zostać panem, anizeli ciężko pracować. I...i... ze radbym chociażby na kwartał zrobić wielmożnego dziedzica parobkiem, zeby się też trochę krzyzów nałamał.

Błażek (*niezmiernie zadziwiony.*)

A dalibóg ze prawda.

Czesław.

Potem gadałem ze kiejbym wiedział jako djabła wywołać, tobym mu i dusę przepisał, zeby mi jeno zrobił panem wsiowym... No, a potem posedłem do stajni spać.

Błażek (*smutno kiwając głową.*)

Aj takci tak, scera prawda. Teraz juz do kumentnie miarkuję co się stało. O mój mocny

Boże! co ja se tez narobiłem: póty walcyłem i walcyłem z djabłem, jaze mię zdrójca wysłuchał i zrobił ciarachem. Pamiętam ja dobrze zem usnął w stajni, w mojej sukmanie: a teraz przeknąłem się we dwoze, w pańskim obleceniu na kanapie leżący. Ha no, już się teraz nie odmienię. (*do Czesława z rezygnacją*) No i cóż? toś ty Błazek?

Czesław (*kłaniając się.*)

A juści nie kto, jeno Błazek Podkulek, fornal dworski.

Błazek (*do Walka.*)

A tyś co?

Walek.

Walek Sroka, tez fornal, ale od cugowych

Błazek.

A ja co?

Czesław.

Cóżby jeno nas pan.

Błazek (*z desperacją.*)

No juści, kiedy Pan Jezus, zesłał na mnie taką biedę ze mię oddał w moc piekielnika, to

juz ja temu nieporadzę. Trzeba będzie żyć jako dziedzic, rozkazować jako dziedzic, skorom wlaź w dziedzicową skórę (*do Czesława*) Błazek!

Czesław.

Słucham.

Błazek.

Ej kiedyś ty byle jaki Błazek, bo nawet gadać nie umiesz. Nie mówi się „słucham“ ale: „cegóz?“... Dajże mi tę poliweckę, bo mię okrutnie na wewnątrz pocmeruje. Widno ze tam nic nie ma.

Czesław (*podając mu kawy i przywiązując pod szyję serwetę.*)

Tak, bo ślafrocek mógłby się oblać kawą. Niechże wielmożny pan piją, bo kawusia słodiuska jak Salcyna gęba, a bulecka taka bielusienka, kiej zęby u Salki.

Błazek (*ostro.*)

Jeno mi się Salki nie cepiaj! Wara od niej, bo ona moja, a bies jej jako mnie nie odmienił (*pije i splota*). Tfy! jakie też to mierlawe, kieby medycyna z japteki. Walek przynieśno mi półkwaterek gorzalki od Abramka, bo mię okrutnie ckliwi.

Czesław.

Doktor zakazał jaśnie panu pić.

Błażek.

Cie? Ktożby ta na doktora zwazał. Doktor wtedy tylko dobry, kiej człowiekowi nic nie pomoże. Otóż zeby śmierć chorego nie męczyła długo, trzeba wołać doktora zeby jej pomógł prędzej wyprowadzić nieboraka na cmentarz.

Czesław (podając mu fajkę.)

A może wielmożny pan zakuszą fajkę (*podaje ogień.*)

Błażek (*zapala, pociąga kilka dymów i splota.*)

Tfu! Oj oj, jakże teźto byle jakie tobacysko, słabe, kieby słomsko: ani tego cuć w gębie. O już ta lepsze cygary. Dajno mi cygar, ale ten co pan cęstuje jak goście przyjadą (*wskazuje.*) Hań ze sufladki.

Czesław (otwiera biurko i podaje pudełko z cygarami.)

Ho! ho? jak się to pan zna na cygarach.

Błażek.

O ba, abom to w mieście nie służył. Po wsiach panowie teraz, to se skąpią, bo co pra-

Cudze zjada, cudze spija,
gdzie się da.
Całe życie za zabawą,
goni bies;
A umiera kajś pod ławą,
kieby pies.

Czesław (*na stronie.*)

Coś mój Błażek nie taki głupi jak myśla-
łem (*głośno*)! ale, ale, całkiem przepomniałem
ze Marcin sołtys już od godziny ceka w sieni z
Salką, skróć tego dozwolenia.

Błażek (*zrywa się przestraszony.*)

Skroć jakiego dozwoleństwa?

Czesław.

Ha no na moją żeniackę z Salką.

Błażek.

Cie?! Hola! a z kimzebym ja się ozenił?

Czesław.

A juści z tą slachcianką, z córką jegomo-
ścinej ciotki co ma tu przyjechać lada dzień
jaze z za Warszawy.

Błażek.

Walku! wołajno mi tu sołtysa z Salką.

Teraz się dokumentnie przekonam com ja jest. Zna ona mię dobrze i musi zaraz wybierać, albo mnie, albo tez jegomości.

Walek (*odchodząc mówi do siebie.*)

Otoz ani ciebie, ani pana, ale mnie, Walka (*wychodzi środkowemi drzwiami.*)

Błażek.

Dziękuję Bogu! otóz i koniec mojej turbacyi, Salka mię tu wnet odcaruje.

SCENA CZWARTA.

Błażek, Marcin, Salusia i Czesław.

Marcin.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Błażek.

Na wieki wieków Amen! witajciez sołtysie.

Marcin (*schyla cię do nóg Błażkowi.*)

Kłaniam się wielmoznemu panu (*do Czesława*) witajciez Błażku.

Błazek (*zdumiony.*)

Marcinie! Cóż wy gadacie? Cyście mię to nie poznali?

Marcin.

Mocny Boze, a bez cózbym nie miał poznać wielmożnego pana. Cy ja to panicowi nie strugałem pałasików drewnianych? Cy ja to nie był na panicowych chrzcinach?

Błazek (*zdekoncertowany.*)

Saluś!

(*Salusia kłaniając mu się figlarnie.*)

Co jegomość kaze?

Błazek.

O biedaz moja bieda! (*zbliżając się do Marcina.*) Widzicie Marcinie, ja byłem forna-lem Błazkiem, ale teraz juz nie jestem. Djabeł mię chwycił i trzyma. Póty kłąłem, jazem się doklął. Póty walcyłem, jazem się dowalcył. Otóż widzicie bies mię opętał i w ciaracha przemienił: a ja przeciez Błazek... (*kiwa głową*) jeno opętany.

Marcin.

Wolne zarty panicu. Oto panic radby się

pozalecać do mojej Salki, ale to tak nie idzie, bo ona chociaż z biednego stanu, ale jest uczciwa dziewczucha, nie żadna miejska goniacka. Jej patrzy się Błazek i będzie go miała, bo już po zrękowinach. (*popycha Czesława do Błazka.*) Skłońcie się Błazeju panu dziedzicowi do nówek i poproście pięknie aby naznaczył dzień na wasze wesele, to damy na zapowiedzi.

Czesław (*czyniąc to.*)

Doprasam się wielmożnego pana jak najpokorniej o Salkę, żeby już wesele mogło się odbyć jeszcze przed bachusami.

Błazek (*z gniewem i na pół z płuczem.*)

A niechajże was też za moją krzywdę porwą wszyscy biesi. Co ja sobie też za zagłębę zrobiłem z klęciem! Nijakiej uciechy, jeno turbacyja i turbacyja. Ale pocekajcie! skoro ja jestem naprawdę dziedzic, a ty Błazek, to i tak Salki nie otrzymasz, bo ona mnie się patrzy, nie komu.

Czesław (*do sółtysa.*)

Widzicie jak to źle poradziliście, anom jeszcze wielmożnego dziedzica pogniewał. Trza jaśnie panu zejść z ojców, boby mię jeszcze zwymyślał (*cicho do Marcina*). Pójdź stary ze mną, z dru-

giego pokoju przysłuchamy się doskonale rozmowie Błażka z Salusią.

SCENA PIĄTA.

Błażek i Salusia.

Błażek.

Saluś, moja ty jedyna Saluś. Widzis ja ci się sumituję na wsyćkie świętości, ze to ja jestem Błażek. No nie śmieje się Saluś: kie ja cię tez bardzo pięknie prosię: bo mię tu wszyscy wyświadcą, choćby i z całej wsi, jako nie ma innego Błażka fornalą. A dyć patrz na mnie (*trąca ją.*) No!.. Co teztó za dziewczucha taka zatracona. O rety! rety! cóz ja zrobię. No! patrzajcie a cyjeze to nos? cyjaz to gęba, toć nie dziedzicowe jeno moje? he.

Salusia (*zaprzecza kręceniem głowy*).

Błażek (*bijąc się pięściami po głowie*).

O juz tez skaranie boskie.

Salusia.

Niech sie ta wielmożny pan próżno za mo-

jego Błazka nie udaje. Kieby mi jegomość całą wieś darowali i krowy i grunt i gadzinę, to ja wielmoznego nie chcę. Niechże każdy patrzy swego, wielka pani dla wielkiego pana, ślachcianka dla ślachcica, a chłopka dla chłopca.

Błazek.

O ba, to ty myślisz że ja będę się ciebie dopraszał żebyś mię wolała, ja cię potrafię przy-
musić żebyś za mnie posła.

Salusia.

Aha! zaraz, albo to prawda, a bo to nie ma sprawiedliwości na świecie, a od cegóz urząd: oj cóż ja też za biedna sierota, kto nie chce to nademną przewodzi.

Błazek.

I cegóz ty płacasz dziewczucha? Saluś! bój się Boga! a dyć cicho (*ociera jej oczy swoim rękawem*) Cichoż! cicho? ja cię nie będę musiał (*Salusia wybucha śmiechem*) Cie! a to znowu co? Cy się dzisiaj bies rozigrał? Cegóz się ty śmiejesz?

Salusia.

A bo też wielmożny pan okrutnie śmie-
szny.

Błazek.

Ozeń ze się ze mną, to i ty będziesz śmie-
sna.

Salusia.

Ja się tam niechcę spinać pomiędzy pa-
nów, boby mnie wnetki sponiewierali.

Spiew Nr. 3.

Nie pójdę ja za dziedzica,
Bo ja mego Błazka wolę;
Dyć to chłopak kieby świeca,
Jak wyjedzie orać w pole.
Gdy ustroi się w niedzielę,
Kiej mu capka kipi z ucha,
Cy to w karcemie, cy w kościele,
Gdziez takiego sukać zucha.

Niechajze tam miejskie dziewce,
Nosi saty ze ślachecka,
Mnie się państwa wcale nie chce,
Wolę mego parobecka.
Bo mi wiejska sata miła,
A nieznane miejskie štuki,
Jak w sukmanie babka była,
Tak w sukmanach pomrą wnuki.

Błazek.

W sukmanie? A juści prawda. Cekajno
Saluś. Teraz dopiero zmiarkowałem bez co ty

mnie nie mozesz poznać, bom oblecony w pańską przyodziewę, ale jak wleżę w moją skórę, to mię wnetki poznasz. (*wybiega na lewo*).

SCENA SZÓSTA.

Salusia, potem Walek.

Salusia.

Zal mi bo zal chudaka, ale któz mu winien: zawdy ujadał na panów, zazdrościł im, niechże się teraz państwa naje do sytości. On myśli że to największe szczęście być dziedzicem, a nie wie, że niejednen pan sto razy ma więcej kłopotów i turbacyi anizeli parobek, który narobi się to prawda, ale ma na cas zasługi i jadło, a niepotrzebuje się uganiać z całym światem. Nawydziwiał mi nieraz, to tez i ja mu teraz trochę podespetuję.

Walek (*wchodzi.*)

Dobra moja! przeciez se posedł ten niezdara. Ho, juz ja cię teraz nie puszę.

Salusia.

A ty znowu czego?

Walek.

No! cóz będzie z nami?

Salusia.

A cózby miało być?..

Walek.

Zalecam ci się od świętego Jana: oświadcylem ci się na święty Michał. Miałas iść za Błazka po Nowym Roku.

Salusia.

A o tobie i w samą Wielkanoc niechęć słyseć, bo Błazka wolę.

Walek.

To i cóz ze go wolis, ale ciekawość cy on cię będzie chciał? taki gruby ślachcic, to ani spojrzy na wiejską dziewczuchę.

Salusia.

E!... nie moze być? Kiebym jeno słóweczko pisała, tobyś widział jakby wyskakował (*smutno.*) I kieby mi dziedzic i pan ojciec nie przykazowali, tobym mu juz dawno powiedziała.

Walek.

Kiedy on juz nie będzie Błazkiem, bo go

Pan Bóg pokarał za to że się djabłu przepisał.
A ja jakem był Walkiem, taki jestem i będę
Walkiem. Widzis jakim sykowny i bierz mię,
póki chcę.

Salusia.

Błazek ta sykowniejsy od ciebie.

Walek.

A cóz mnie brakuje?

Salusia.

Wsyćkiego: wyglądas kieby kloc, chodzis
kieby dziad pokrzywiony i jesteś do nicego.

Walek.

Ejze dziewczucha! nie wydziwiaj, bo ja jestem
probant do wsyćkiego: umiem robotę i potrafię
nie tylko babę obzywić, ale i dzieci. Dyć mi
pan płaci sto sterdzieści złotych na rok, dwoje
butów i dwie kosule, a na kolędę talarka; wre-
scie jestem śwarny jak wrzeciono i nie ma we
wsi drugiego siłaca jako ja.

Spiew No. 4.

Hajze ino, dana ino,
Capka na bok! hej dziewczyno,

Nie róbze mi juz mitręgi,
Pojźryj jeno, jakim tęgi.
Pojźryj jeno, jakim chwacki,
Do roboty, do zeniacki,
I do tańca i do pługą,
Nie zechces mię, zechce druga.

Hejze ino, podkówecki,
Dajcie ognia do dziewecki;
Nie róbze mi turbacyje,
Bo przez ciebie ledwie zyję.
Kochas Błazka, lecz to fracha,
Nie dla Błazka teraz Salka,
Błazek wysedł na ciaracha,
Porzuć Błazka, chwytaj Walka.

Błazek teraz uda hrabię,
W jaksamity się ustroi;
Djabliz mu po takiej babie,
Co w oborze krowy doi.
Pojźry na cię bez szkło z góry,
Krzyknie: Idź prec głupia Salka,
Djabeł chwyci go w pazury,
Porzuć Błazka, a biez Walka.

Salusia.

Pięknieś mi zaśpiewał, ale ja ci tez jescie
piękniej odpowiem.

Śpiew Nr. 5.

Choćbyś ty miał seśe koni w karecie,
Chodził cały w zółtym jaksamicie,

Tobyś mi się i tak nie spodobał,
Nie nadał do smaku,
Ty przejęty cudaku.

Choćbyś ty spał na złocistem łózku,
I wciąż do mnie gadał po frajeuzku,
Tobyś mi się itd.

Choćbyś ty miał książeczą urodę,
I na jarmark wodził do Prus trzodę,
Tobyś mi się itd.

Choćbyś ty mi pieceń z cukrem dawał,
I co rano przynosił synki kawał,
Tobyś mi się itd.

Choćbyś mię ty kąpał w słodkiem winie,
Dukatami palił na kominie,
Tobyś mi się itd.

Choćbyś ty miał na głowie koronę,
Złote saty perłami sadzone,
Tobyś mi się itd.

Walek (z gniewem.)

Cekajze, ja ci tu wnet pokazę i przez złotej korony i przez pieceni z cukrem, ze mię musis kochać (zamierza się na nią — *Salusia* krzyczy.)

SCENA SIÓDMA.

Salusia, Czesław i Walek.

Czesław.

A ty co tutaj za awantury wyprawiasz?

Walek.

A nic, jenom chciałem namówić Salkę żeby mnie kochała.

Czesław.

Ktoś jedzie od Krakowa, wybiegnij naprzeciw i zobacz kto to taki.

Walek *(do siebie.)*

Wygania mnie, bo się chce krztynekę pozalecać do Salki. Już ja teraz miarkuję bez co on został parobkiem *(odchodzi)*.

SCENA ÓSMA.

Czesław i Salusia.

Czesław.

I cóż Salusiu? Czy kontenta jesteś ze zamiany? Mnie się zdaje że jestem zgrabniejszy od Błażka.

Salusia.

Juścić ta pan sykowniejsy na pana, ale znowu Błazek śwarniejsy na parobka.

Czesław.

No proszę, taki drągał spodobał ci się, szkoda że ja nie jestem parobkiem (*bierze ją wpół*) bo zaraz ożeniłbym się z tobą.

Salusia (*wyrywa się.*)

Ej co tez to wielmożny pan gadają. Jegomość wcaleby nie obstał za chłopa. Trza umieć orać, mlócić, ząć, a jegomość ma bieluśkie rącki do nicego. Trzeba jeść zur, a jegomość zbankretowałiby przez kawusi. Oj biedny mój Błazek, nie dość ze go jegomość ocarowali, jesce się chcą zalecać do jego dziewczuchy.

Czesław.

Cóż tam o to, albo ty myślisz że on o to będzie się gniewał, jak cię pocałuję.

Salusia.

No toć przecie nie będzie za to dziękował.

Czesław.

Poproś że mię pięknie, to go odczaruję.

Salusia (*figlarnie.*)

Kiej ja nie wiem jak to prosić?

Czesław.

Trzeba mię pocałować.

Salusia (*całuje go w rękę.*)

Cy tak?

Czesław.

Nie tak (*nadstawia twarz.*) Pocałuj mię tutaj.

Salusia.

A kajzebym tez śmiała wielmoznego pana w gębę pocałować.

Czesław.

Nie śmiesz pocałować, czekajże to ja pocałuję ciebie. (*goni ją, Salusia ucieka, Czesław dogoniwszy ją na środku sceny całuje, a w tejże chwili Anastazyja staje we drzwiach i widzi to.*)

SCENA DZIEWIĄTA.

Błażek (*z lewej*) Anastazyja, Klementyna, Celestyn (*ze środka*) Czesław i Salusia.

Błażek (*we drzwiach po lewej*).

O rety!

Anastazyja.

Jezu Chryste! a coże ja widzę! (*Salusia ucieka głębiej.*)

Czesław (*zmięszany*).

Do licha! byłaby to moja ciotka?

Anastazyja (*idzie do Błażka i biorąc go za siostrzeńca wita sderecznie, mówi wciąż bez odetchnienia.*)

Chwałaż tobie Panie że już na miejscu. A dalibóg jak cię zobaczyłam, tak moje serce zaraz przekonało mnie że jesteś krewniaczkiem. Dalibóg że to wcale nie przystawszy jest, żeby w szlacheckim domu cham chamkę w gębę całował. Jabym jemu zaraz dać kazała sto oblewanych bizunów za taką nieczystość. Jużto prawdę powiedziawszy, to takóž i u nas trafia się czasami że się całują. Bywało, i mnie pocałuje nieboszczyk Ferduś, świętej pamięci, wieczne odpocznienie; ale to zupełnie co innego ślubne małżeństwo. Otóż co chciałam mówić a nie zelgać

(*przypomina sobie.*) Aha!... Otoż widzisz, ja jestem Anastazyja urodzona Orlewiczówna, z pierwszego męża Puciatowiczowa, z drugiego Śnieżkowa. Pewno mnie **sobie** nie przypominasz, bo byłeś jeszcze ot takim (*pokazuje*) maleńkim błazenkiem, kiedy ja ciebie ostatni raz widziałam w Dajkieliszkach u pan' Pociulewiczowej. Toż przecie pamiętasz panią Pociulewiczową, u której bywali z tobą rodzice twoi, świętej pamięci, wieczne odpocznienie, co to tobie zawsze dawała cukru, by kanarkowi. Oto jest moja córka, Klimusia, jeszcze była, za pozwoleniem, przy piersi, kiedy ciebie rodzice nieboszczykowie w Krakowskie wywieźli. To jest pan Celestyn Słomkiewicz, takż nasz krewniak, bo go rodzi Puciatowiczówna. Otoż bywszy w Warszawie, względem tego procesu o ten dom na Pradze, co jego Śnieżkowie z Galicyi mają do niego pretensye, a mnie on przypada w sukcesyi po moim nieboszczyku Ferdusiu, świętej pamięci, wieczne odpocznienie, spotkaliśmy się niechcący i namówiłam, żeby ze mną pojechał dla poznania do ciebie. Tak nas święta w drodze zaskoczyły, bo wyjechałam w połowie Decembra, że musiałam pierwszy raz w życiu w cudzym domu kucyę odprawić: a pozawczoraj pojechałam umyślnie na żelaznej maszynie do Krakowa, bo mnie

powiedziano jakoby ztamtąd najbliżej do Niezwojowic, do ciebie Czesławenuku: Wstąpiwszy do ciebie względem ułożonego mariażu z Klimusią. (*Idzie w głąb zdejmując z siebie i Klementyny futro; potem poprawia przed lustrem włosy wydobywszy z torebki grzebień i porządkuje ubranie córki.*)

Czesław (*przez ten czas mówi do siebie.*)

Co tu robić? wpadłem w własne sidła, niepodobna w tej chwili w takiej maskaradzie przedstawiać się ciotce, zwłaszcza po takiej scenie przyznawać się do niewczesnego żartu. Ha czekajmy sposobniejszej chwili, a tymczasem niechaj Błażek reprezentuje siostrzeńca.

Anastazyja (*do Błażka.*)

No i cóż, nic nie gadasz? Czy nie wstydzisz się!.. Co tobie jest. Czy ty nie chory, chowaj Boże. Może ty mowę straciwszy? Patrzysz i patrzysz i nic nie gadasz. Tfu na psa urok, czy nie przystąpiło co do ciebie? a może ty gniewasz się że my niespodziewanie przyjechawszy? To akurat mój nieboszyk Ferduś, świętej pamięci, wieczne odpocznienie, bywało jak pogniewa się, to przez cały tydzień nieraz je-

dnego do siebie słowa nie przemawiając. A może ty w jakiej zakochawszy się jesteś?

Błażek.

Tfu do kopy djablów, tyrkoce i tyrkoce, kieby peprzyce we młynie, a nijako zmiarkować nie mogę czego ona chce.

Anastazyja.

A pfe! Dalibóg nie wytrzymam! Co ty tam mruyczysz pod nosem jak smorgoński niedźwiedź. Czy nie wstydzisz się może. Przecie jesteś dorosły kawaler, a nie błazenek, żebyś nie umiał mówić do kobiet. Toż też nie wstydz się; co innego z cudzą osobą, a co innego z krewniakami. Pocałujże mnie! Pocałujże Klemusię, albo nie, poczekaj troszeńki, bo może z waszego maryażu nic nie będzie, jeżeli z Rzymu nie przyszlą suspendy: Ach jakież on wstydlivy. Ot pocałuj mnie kiedy Klemusi nie wolno (*nadstawia się.*)

Błażek.

Ej co mi ta, ja ta nikogo nie będę całował.

Anastazyja.

Jezu Chryste! Czesławeńku! co ty wyga-

dujesz, a to Sodoma, Gomora. Proszę sobie wyobrazić gada jak prosty cham. A toż wy zawsze Litwinów prześladujecie jakoby kiepsko gadali, a dalibóg że u nas prosty lud lepiej gada od ciebie.

Czesław *(do Anastazyi.)*

Proszę wielmożnej pani, nas pan to tak chłopów lubi, że nie tylko po chłopsku gada, ale casami i chłopską przyodziewę nosi.

Anastazyja.

Precz odemnie paskudniku. A nie pódzieszże sobie Dalibóg w gębę dam: jeszcze mnie gotów bezbożnik pocałować.

Celestyn.

Dziwna rzecz, że kuzyn odebrałeś tak niedokładne wychowanie: a czy to nie przypadkiem mania demagogiczna, która niestety dzisiaj jeszcze tyle ofiar zabiera, że dla chwilowego obłędu sakryfikuje się stanowisko.

Błażek *(n. s. patrząc podejrzliwie na Celestyna.)*

Im mu się lepiej przypatruję, tem dokumentniej miarkuję, że ten cudacek na cieniuśkich nogach, to nie kto inny jeno bies co mi zwal-

cył i w dziedzica odmienił, (*Zagląda mu na głowę.*) Jenσ ze sobaka ma takie gęste kudliska ze i rozków nie widno.

Czesław (*do siebie.*)

Pocieszna historia. Moja kuzyneczka śliczna jak anioł, a ja nie mogę do niej słówka przemówić. Jakby tu położyć koniec tej maskaradzie. Ha wydajmy tymczasem dyspozycyę, ażeby ciocia wygodnie się pomieściła (*wychodzi.*)

Celestyn (*do Błażka.*)

I cóż kuzynku, ani nie zajrysz do Warszawki. Zagrzebałeś się na wsi i zdziczałeś pomiędzy gawronami. Dla czego wciąż siedzisz tutaj.

Błażek (*do siebie.*)

Oho, juz się mnie cepia (*oburkliwie do Celestyna.*) Kajzebym siedział? Kaj się uląłem tam siedzę.

Celestyn.

Proszę cię mój kuzynku, czyż ciebie nie wysłano do szkół, czy nie miałaś guwernerów, ani nikogo do towarzystwa że się tak dziwnie wyrażasz.

Błażek (*żegnając się.*)

Odcepze się odemnie kuternogo!

Celestyn.

Ależ Czesławie, na honor nie pojmuję.

Anastazyja.

Ja takóž nie pojmuję. A tożeż ty jesteś Czesławenku jak najordynarniejszy cham, ani troszenieńki edukacyi, wszelako pochodząc ze szlacheckiej familii.

Błażek.

A cóż to mojej familii brakuje: mój tatuś słułował po dworach, a matusia setnie przędli i wedle krów chodzili.

Anastazyja.

Jezu Chryste! co on wygaduje? Co z niego zrobiło się. Toż z niego pamiętam był taki mi-
leńki chłopczynka... Czesławenku wszelako mu-
sisz pamiętać jak ciebie nie mogła się odchwa-
lić pani Pociulewiczowa, jak to ty ekspedyte
umiałeś wokabuły francuzkie. Nie przypominasz
sobie: głowa, *la tête*, oczy: *les yeux*, twarz: *le
visage*, nogi za pozwoleniem *les pieds*. A ka-
teohizm, a wszystkie miasta stołeczne, a baję.

czkę o Tadeuszkę, który jakoby muszki łapał do flaszeczki. Przecież pamiętasz panią Pociulewiczową, która tak okropnie pacuków obawiała się, że bywało czasami i zemdleje. No przemówże do Klemusi co po francuzku, ona umie doskonale konwersacyę.

Celestyn.

Cha, cha, cha, pani dobrodziejka chcesz żeby on przemówił po francuzku, a toż on wygląda jak najordynarniejszy parobek.

Błażek.

A i cóż to złego parobek? he? Parobek to jest cłek pracowity, chodzący na ten przykład do kościoła i modlący się pięknie, ale nie mający na łbie rogów w kudliskach schowanych.

Śpiew No. 6.

W cemzes panie tak zasobny,
Ze potyras parobkami,
A do czegoś ty podobny,
Z cieniuśkiemi nóżeczkami.

Wnetbyś złamał te patyki,
Kiebyś uciął w podkowecki,
Na wsi taki galant dziki,
Nie wart ani torby siecki.

Na łbie kudły mas baranie,
Jakaś smata na spisku,
Otóż ty wyglądas panie.
Kiejby djablik na bagnisku.

A parobek, rośnie dusa,
Kiej oberka w odlew wali,
(*smutno.*)

Ale teraz rada kusa,
(*wskazuje Celestyna*),
Bo mię djabli opętali.

Celestyn.

Na honor pan gospodarz nadzwyczajnie uprzejmy, bardzo gościnnie przyjmuje w swoim domu. Nie powinieneś jednak zapominać kuzynie, że tylko ta okoliczność zasłania cię od żądania satysfakcyi za podobne obejście się.

Anastazyja.

Jezu Chryste! czy nie pojedynek. Dajżeż pokój; toż możecie pokaleczyć się obydwaj i chowaj Boże w łóżku odleżeć; a gdyby jeszcze do rządu doniosło się, toby zaraz i kryminalna sprawa była. Ot wiesz co kuzyneczku zostawmy ich troszeczkę z Klimusią, może ona jego utemperuje.

Celestyn.

Ależ ciociu wątpię żeby panna Klementyna

chciała pozostać z panem Czesławem, odznaczającą się tak uprzedzającą grzecznością.

Anastazyja.

Zachciałeś?... Toż duszeńko miłość chodzi po ciemku, bo ślepa, to nie uważa czy kto mówi, takim czy owakim sposobem. Ludzie z obcych narodów mogą nierozumiawszy się pokochać, a cóż dopiero swoi.

Celestyn.

Ależ to niepodobna.

Anastazyja.

Ha może być że i niepodobna, wszelako : mój nieboszczyk Ferduś, świętej pamięci, wieczne odpocznienie, był bardzo brzydki, a taki zły że bywało, jak mu co nie do gustu to talerz o ziemię rozbiwszy. Raz pamiętam kucharce gębę buraczkami wysmarował za to że ich przesoliła. A wszakżeż ja jego pokochałam miłością wierną aż do grobowej deski. Pójdźże już, pójdź, a z tobą do zobaczenia (*chce pocałować Błażka, który usuwa się.*) Boże odpuść jaki ty nieugłaskany. (*Bierze Celestyna pod rękę i prowadzi go ciągle mówiąc.*) Otóż muszę ja tobie opowiedzieć jak raz nieboszczyk Ferduś,

(wychodząc mówi za drzwiami) świętej pamięci,
wieczne odpocznienie.

SCENA DZIESIĄTA.

Klementyna i Błażek.

(Klementyna do siebie.)

Jaka też mama dziwna, żeby mnie tak zostawić sam na sam z kuzynkiem, który na mnie tak nie pięknie spogląda, doprawdy że ja jego obawiam się.

Błażek.

Cegóz ona tak na mnie z podełba patrzy, cy nie myśli mię przymusić zebym się z nią zenił.

Klementyna (do siebie.)

Ach jakież on niezgrabny, ani słówka do mnie nie zagada, ani nawet o zdrowie nie zapyta się. Nasza Madame chwaliła bardzo Krakowiaków, że to słuszni ludzie a u nas chłop grzeczniejszy. Komuż tu wierzyć, kiedy i Madame prawdy nie mówi.

Błazek (*do siebie.*)

Juści tak niejako stać i nic nie gadać, trzeba się jakoś rozmówić. (*Zbliża się nagle do Klementyny i kłania się jej po wiejsku ręką do kolan.*) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Klementyna.

Na wieki wieków. (*do siebie*) A toż osobliwszy człowiek.

Błazek.

Słuchajno moja panno, cy im się we łbach poprzewracało ze nas chcą zenić. Kiej ani ja dla panny, ani tez panienka nie dla mnie. Juścić ta z gęby toby panna obleciała, jeno ześ okrutnie cieniūska i rącki maluśkie nie do roboty, ani tez nózecki nie obstoją. Cóżbym ja miał za pociechę z panny przy gospodarstwie, mnie trza takiej coby i wedle krów zrobiła i sierpa się nie złąła. Ot wies panna co, weź sobie za męza fornala Błazka, to się lepiej zgodzicie, bo on był dawniej dziedzicem, to się po ślachecku rozmówi.

Klementyna.

Mój kuzynie, jak można do mnie tak mó

wić, ja nie jestem przyzwyczajona (*tłumiąc łzy.*)
O mój Boże! mój Boże i po co mnie mama tu-
taj przywiozła...

Błażek (*do siebie.*)

Widzisz już i płacę (*do Klementyny.*) Moja
panienecko, tu płac nie pomoże, bo chociażbyś
się panna i na śmierć zapłakała, to ja na to nie
poradzę i z tobą się zenić nie będę. Zabieźciez
moje panie swoje hadery i jedźcie do domu,
bo tu nie macie co robić. Dziedzic ostał pa-
robkiem, to go panna nie będiesz chciała. Ja
znowu mojej Salki nie porzucę. A zresztą cho-
ciażbym już przystał ra to żeby się z panienką
ozenić, to paniece by to na nijaki pożytek nie
wyszło, bo ja jestem bez djabła opętany, co jeno
patrzyć jak mi łeb urwie i powlece do piekliska.

Klementyna (*patrząc na niego ze strachem.*)

O mój Boże, czy on tylko zmysłów nie
stracił.

Błażek.

Zal mi panny, bo zal, widno żeś panna do-
bra, ale skoro mam Salkę to jej nie odejdę.
Ostańże sobie tu z Bogiem, a niezaprzętaj sobie

mną głowy, bo ja ci brewiternie mówię, ze cię nie chcę (*odchodzi.*)

SCENA JEDENASTA.

Klementyna, potem Czesław.

Klementyna.

Mój Boże! to tak zawsze bywa kiedy kto naprzód małżeństwo układa. Nie dosyć, że pan Celestyn naprzykrza się mnie, ale jeszcze i kuzynek, który myślałam, iż mnie uwolni od pana Celestyna taki grubijanin, bez najmniejszej edukacyi. A ktoby czytając jego listy pomyślał że to ten sam. Nie doprawdy, to nie do uwierzenia. Toż tamten taki wykształcony, a ten prosty chłop... Ja tego pojąć nie mogę, ale coś w tem jest. O mój Boże jakaż ja jestem nie-szczęśliwa.

Czesław (*wchodząc.*)

Panienczko? a o co panienka taka smutna?
(*całuje ją w rękę.*)

Klementyna.

Co to jest? Jak ty śmiesz całować mnie.

Czesław.

Niech się panienecka nie gniewa, ale mi żal, bo ja wiem, że panienka okrutnie dobra.

Klementyna (*zdziwiona.*)

A ty z kąd o tem wiesz?

Czesław.

A mało ja to nie cytywałem listów co mama panienki pisywała do dziedzica. On niezmiernie pragnął poznać panienkę. Jaki on też szczęśliwy, że będzie miał taką piękną i dobrą żonę.

Klementyna (*do siebie.*)

Dziwna rzecz. On grzeczniejszy od swego pana (*głośno.*) Czy twój pan zawsze taki nie grzeczny.

Czesław.

Ej gdzie tam, dopiero dzisiaj od rana tak się odmienił.

Klementyna.

A czy przypadkiem on (*pokazując na czoło*) nie zachorował.

Czesław.

I to być może.

Klementyna.

Wyraża się jak prosty chłop, zupełnie nie znać żeby edukację odebrał, a mówi tak dziwnie, tak osobliwie.

Czesław.

O, u nas dzieją się często bardzo dziwne i osobliwe rzeczy. Czasami pan przemienia się w chłopca, a niekiedy znowu chłop w pana.

Klementyna (*patrząc na niego ze zdziwieniem.*)

Jak to?

Czesław (*innym tonem.*)

Ot, ja naprzykład, na skinienie pani gotów jestem natychmiast przemienić się w Czesława Orlewicza, najszcześniejszego kuzynka pani.

Klementyna.

Mój Boże!... Co to znaczy?

Czesław.

To znaczy, droga panno Klementyno, że przez niewczesny żart, jakim z nudów chciałem się cokolwiek rozerwać, zasmuciłem panią, lecz będę się starał przebłagać panią i kochaną cio-

cię i mniemam że mi przebaczycie. Ja jestem Czesław.

Klementyna.

Lecz wytłumacz mi kuzynku? Któż jest tamten?

Czesław.

Natychmiast wszystko pani opowiem, ale teraz odejdźmy ztąd, bo słyszę głos kuzynka Słomkiewicza (*odchodzą głębia.*)

SCENA DWUNASTA.

Błażek, Celestyn, potem Salusia.

Celestyn (*wchodzi w gniewie z prawej ciagnąc Błażka za rękę.*)

Czy kto słyszał coś podobnego, a to wstyd! hańba! zgorszenie! musimy to inaczej zakończyć.

Błażek.

Puszczajcie mnie przeklęty kuternego i odcep się raz odemnie, nie dufaj tak bardzo w swoją djabelską siłę, bo jak mnie złość porwie, to ja ci się i samego lucypera nie zleknię.

Celestyn.

Myślisz może, że Warszawianin nie dostoi ci placu! że sobie pozwoli ubliżać, dotąd powstrzymywałem się mój braciszku, ale...

Błażek (*przerywając mu.*)

Ja nie jestem twoim braciskiem, bo mój tatuś w piekle pod kotłem nie palał, ani też matusia na łysą górę nie jeździła.

Celestyn.

Dłużej tego znosić nie myślę. Wiem, że jestem w twym domu, ale są okoliczności, w których tracą moc wszelkie formy konwencyonalne. Nie chcę wchodzić w to czy to wskutek zaniedbanego wychowania, czy złego towarzystwa, nabrałeś manier karczemnych i ubliżasz nam wszystkim, ale płazem obelg puścić nie mogę. Wyjeżdżam natychmiast do najbliższego miasteczka i przysyłam ci świadków, pierwszych lepszych jakich znajdę.

Błażek.

Słuchajno ty odmieńce, jak nie przestanieś wydziwiać, to ja sobie wysmaruję dębcaka święconą kredą i taką ci sprawię gorącą kąpiel, ze i o pieklisku zabacys.

Celestyn.

Cierpliwości mi brakuje. Słuchaj: to, co na zawsze miałem ukryć przed wami, teraz wyznam bez skrupułu. Ja kocham pannę Klementynę. Tyś jej nie wart.

Błażek.

A kochaj sobie kogo chcesz; cóż mnie do tego.

Celestyn.

Ty musisz mi ustąpić swojej narzeczonej! rozumiesz!

Błażek.

Co? jak?... ty chcesz zebym ja ci odstąpił mojej Salki? A coś ty jest? cy jaki król, cy jedncroł, albo konwisarz, zebyś mi jej zakazował. A kiebyś ty był nietylko byle jakim djabłem, ale synem samego Jancychrysta, to ja ci jej nie ustąpię. (*Salusia wchodzi.*) Widzis ty Saluś, ten bez nogi, niedość ze mię opętał, jesse mi chce cię zaprzecać! Ale ja nie ustąpię, bo cię kocham z całej dusy. (*Obejmuje ją rękami za głowę.*) Mojaś ty Saluś jedyna.

Celestyn.

A tego już zanadto! Obrażasz całą naszą rodzinę!

Błażek.

No to cóż?

Celestyn.

Ublizas pannie Klementynie, wyznając ja-
wnie swą miłość dla tej chłopki.

Błażek.

Kiej ją kocham, to kocham, a tobie od
niej wara! Salka więcej warta niz wsyćkie twoje
Klementyny.

Celestyn (*biegnie i zdejmuje pistolety ze ściuny.*)

Precz z wszelkimi formami! Pójdź natych-
miast do ogrodu, krew musi obmyć tę zniewagę.

Salusia (*z krzykiem.*)

O mój Boże! ratujcie! ratujcie (*wybiega.*)

Celestyn (*podając mu pistolety.*)

Wybieraj!

Błażek.

Abo ja głupi.

Celestyn.

Nikczemnik. boi się, czy chcesz żebym cię zmusił uderzeniem w twarz?

Błazek.

A ty zdrajco przejęty, nie dosyć, żeś mię ocarował, jeszcze chcesz mię prać?! A może jeszcze zastrzelić, żebym przez świętych sakramentów zesedł ze świata? żebyś mię przez żadnej ceremonii porwał do piekła! Mas mi leć urwać, to urywaj. Jedna mi śmierć. (*Porywa Celestyna za klapy i rzuca nim tak gwałtownie na sofę, że mu pistolety wypadają z ręki. Błazek przytrzymując go jedną ręką za gardło, drugą zamierza się*). Ja cię tu wymuśtruję i przez piszczeletów ty kusy djabło. Zaraz mię odmień napowrót w Błazka, bo cię zdusę jak kota. (*Spostrzegając wchodzącego Walka.*) Walku biegajno po święconą wodę, jużem mu dojechał i nie puszę.

Celestyn.

Na pomoc! ratujcie!

SCENA TRZYNASTA.

Celestyn, Błażek, Walek, Anastazy, Czesław i
Klementyna.

Walek (*który wbiegł przed chwilą.*)

Nie puscaj! nie puscaj ja ci wnet przyniosę
snura od kościelnych dzwonów, to go pokrępu-
jemy, a potem hala do stawu.

Reszta osób (*wchodząc.*)

Co to jest?

Celestyn.

Wyrwicie mnie z rąk tego szaleńca!

Błażek.

Odcaruj mię, bo cię uśmiercę!

Czesław.

Puszczaj go Błażku!

Błażek (*puszczając Celestyna, staje jak skamieniały
ze zdziwienia.*)

Hę? co jak? Co wielmożny mówią? ktom
ja jest?

Czesław.

Głupi Błażek, któremu zachciało się być panem.

. **Błażek** (*klęka składając ręce.*)

Chwalaz ci Panie Boze, ześ mię wyratował z tego nieśćęcia. (*Wstając do Celestyna.*) A widzisz jakem cię nastraszył, także mnie zaraz odcarował, (*klaniając się Czesławowi*) Bóg zapłać wielmożnemu panu. (*Skacze.*) O mój Boze jakże mi też rażno, zem się pozbył państwa.

Anastazyja (*zdziwiona niezmiernie.*)

Jezu Chryste? A toż co. Co to ten co to bywszy niby moim siostrzeńcem jest chamem, a któż znowu ten co chłopkę ściszał.

Czesław (*całując ją w rękę.*)

Cicho droga cioteczko, to ja Czesław ten grzesznik, ale na szczęście Klemunia nie widziała.

Anastazyja.

Czyż może być? (*z radością.*) Czyż może być, ty Czesławieńko? ten sam co się chował u pani Pociulewiczowej, a toż awantury arabskie?

Klementyna.

Tak, tak, mamunieczko, pan Czesław przyznał się, że to był tylko żarcik karnawałowy, chciał on ukarać swojego furmana, że się napierał zostać panem.

Anastazyja (ze znaczeniem do Czesława.)

Czy tylko nie za bardzo ukarawszy. (*Pokazuje palcem na Błażka.*) Więc któż on?

Czesław.

Mój fornal Błażek.

Anastazyja.

Jezu Chryste, toż ja prostego chama w gębę pocałowała. A toż awantura! Awantura arabska, jak żyję jeszcze mnie taka historia niespotkała. I ty Czesławieńko nie przestrzegłeś mnie? Dalibóg warto pogniewać się.

Czesław (*całując ją w rękę.*)

Przebacz kochana ciociu i mnie pocałuj, to się uraza zagoi.. (*klęka przed Anastazyją.*)

Anastazyja.

Ukląkł! dalibóg ukląkł, to tak akurat jak mój nieboszczyk Ferduś, świętej pamięci, wie-

czne odpocznienie, kiedy mnie dozgonną miłość oświadczał. No cóż robić, tak i pocałuj. (*Całuje Czesława*) Wszelakoż powiedz dla czego ty tak przebrałeś się?

Czesław.

Chciałem cioci niespodziankę zrobić.

Anastazyja.

Ślicznaż zabawka całowanie z furmanem, a bodajże ciebie kaczkę zdeptali z taką zabawką.

Czesław.

To jeszcze raz ciocię pocałuję, a proszę już przebaczyć. (*Całuje ją.*)

Anastazyja.

Oto całuje, aż miło, zupełnie jak mój nieboszczyk Ferduś, świętej pamięci, wieczne odpocznienie.

Czesław (*do Celestyna.*)

Przepraszam cię kuzynku za Błażka, na nie szczęście niezdolałem przeszkodzić. A teraz dro-

ga ciociu, czy mogę mieć nadzieję otrzymania rączki mojej kuzynki.

Anastazyja.

Czemu nie? otrzymasz, wszelako aż suspenda przyjdzie z Rzymu, a tymczasem nieprzybliżaj się za bardzo, chyba w mojej obecności.

Błażek (*kłaniając się Czesławowi.*)

A co zemną będzie wielmożny panie. Skoro już pan wrócił do ślacheckiej kondycyi, to już jegomości na nic Salka.

Czesław (*śmieje się.*)

A naturalnie. Idźno otwórz drzwi i zobacz kto tam czeka.

Błażek (*otwiera drzwi środkowe i woła ucieszony.*)

O święci, a dyć to Salusia i soltys.

SCENA OSTATNIA.

Dawni, Marcin, Salusia, wieśniacy i wieśniaczki.

Marcin

Przyśliwa tu wielmożny panie, z gromadą

powitać naszą przysłą panią. Winsujewa wsyćkiej pomyślności i scęścia na zdrowiu i dobytku, a po najdluzsem zyciu niebieskiej korony.

Czesław.

Bóg wam zapłać mój sołtysie i wam kochane moje dziatki. Walek biegaj do pisarza niech wytoczą beczkę piwa. A Maciejowa wyniesie jadła ze szpizarni.

Anastazyja.

Wszelako chciałabym zobaczyć Krakowiaków tańczujących prawdziwego Krakowiaka, bo dotąd widywałam tylko na maskaradach, albo w komedyi w sali ratuszowej w Wilnie.

Czesław.

Dalej chłopcy, ostro w podkówki.

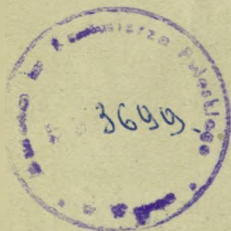
Błazek (*który tymczasem włożył sukmanę i czapkę nasunął na ucho, staje na przodzie i mówi do orkiestry.*)

A dalejze dudy, zagrajcie mi, ale ogniście od ucha!

Spiew No. 7.

Hejze chłopcy do hulacki,
Hajze ino dana.
Będziem mieli dwie zeniacki,
Błazkowe i pana!
Chciałci Błazek ostać panem,
Wpadł do własnej sieci,
Kto pogardza swoim stanem,
Zawdy w biedę wleci.

(Ogólny taniec).



3855

